Nr. 36 (1080). Warszawa, dnia 25 Sierpnia (7 Września) 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 11 do 12 rano.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Szan. Abonentów kwartalnych prosimy o wniesienie przedpłaty.

POLITYKA.

BURZA W SZKLANCE WODY.

Są w Konstantynopolu bulwary, są doki i jest towarzystwo bulwarów i doków. Założyli je przed kilkudziesięciu (ok. 30) laty Francuzi. Wzniesione obrzeżenia, przystanie i składy są już od wielu lat w używaniu i użytkowaniu, i nigdy o nich w Europie nie było mowy. aż dopiero obecnie odrazu rozległ się grom. Przez trzy pierwsze tygodnie sierpnia poseł Rzeczypospolitej Francuskiej, p. Constans, nic prawie innego nie robił, tylko, broniąc towarzystwa, układał się z sułtanem i jego ministrami o odwrócenie od obywateli francuskich ciężkiej krzywdy, jakiej doznać mieli z ręki tureckiej. Co to za krzywda i w czem? Najpierw towarzystwo przeliczyło się, ma mniejsze zyski od spodziewanych, wskutek nakładu większego nad przewidywany. Grunt nadbrzeżny wypłatał mu figla; systematycznie się obsuwał i nie pozwalał na prowadzenie właściwej już budowy. Powściągnięto go wreszcie i opanowano, ale tak wielkim nakładem, że procent od przedsiębiorstwa spadł jakoby do najskromniejszego poziomu. Cierpiano tę krzywdę, dopóki dochód bieżący był znaczny, lecz i dochód zmniejszył się. Wtedy dopiero udano się po ratunek do naturalnego opiekuna, posła, i poseł nie zaspał gruszek w popiele. Do jednego złego przybyło drugie — policya turecka zażądała dla siebie prawa wstępu do przystani i doków i na same statki handlowe i podróżnicze, osłonięte przywilejem towarzystwa. Francuzi, podnieceni przez swego posła, pozwolenia odmówili. Mimo to sporadycznie dokonywano oględzin i poszukiwań policyjnych i tym sposobem dmuchano na rozpalony już ogień; z ognia nakoniec stał się pożar.

Francuzi, chodząc dobrze około swoich interesów, jeszcze przed wybuchnięciem sporu, podsunęli posłowi myśl wykupienia nierentującego się należycie przedsiębiorstwa przez skarb turecki. Skarb się namyślał; w umowie miał prawo zapewnione dopiero po 40 latach; w propozycyach mógł z niego w ciągu roku skorzystać i skorzystałby rzeczywiście, gdyby od niego nie wymagano monety, której nie ma nigdy. Rząd turecki układy nawiązał w tem oczekiwaniu, że przy wysokości pierwotnego kapitału, ulegającego zwrotowi, wpływy wystarczyłyby na amortyzacyę, a szacunek dałby się pokryć obligacyami. Francuzi przecież zażądali nie samego tylko pierwotnego kapitału, ale i owej dokładki, którą z winy gruntu, ostatecznie ze swej własnej, w przedsiębiorstwie utopić musieli. Zamiast 30 wystąpiły w żądaniach hojnie bardzo obliczone 42 miliony. P. Constans tak nachodził sułtana, tak go trapił, że ostatecznie Abdul-Hamid przystał na wydanie *irade* z 41 milionami, nadto zobowiązał się pokryć 700,000 fr. jakoby strat przez towarzystwo poniesionych. *Politische Correspondenz*, bardzo poważny organ dyplomacyi dla całej wschodniej połowy Europy, tygodnik dyplomatów, doniósł nawet o podpisaniu już irade. Tem większe zdziwienie ogarnęło interesowanych, gdy sułtan nazajutrz po dobiciu targu oświadczył p. Constansowi, że interesu nie zrobi. Tu już była rzeczywista krzywda, poseł miał prawo w cofnięciu słowa widzieć obrazę wielkiego mocarstwa; uderzył odrazu w największy dzwon, jakim dyplomata rozporządzać może: zagroził wyjazdem, dał termin fatalny 23 sierpnia, a po jego upływie groźbę wykonał. Sułtan posłał na kolej wyższego urzędnika, ale poseł był nieprzebłagany, rozmawiać nawet nie chciał.

Są w tej sprawie dwie siły działające: Constans i Delcassé, i są dwie rzeczy sporne: honor i pieniądze,—interes publiczny i interes prywatny. P. Constans wygląda tak, jakby się na własną odpowiedzialność za daleko zapuścił, p. Delcassé tak, jak gdyby go z obowiązku ministra ratował. Przebranie miary nie było trudnem przy temperamencie, któryby specyalnie temperamentem prefekta nazwać można. Dzisiejszy poseł był prefektem energicznym i energię tę wniósł do swego urzędu ambasadorskiego, pokusę jeszcze znajdując w słabości państwa, w którem posłował. *Ne quid nimis* było p. Constansowi tem bardziej potrzebne, że w sprawie tej interes publiczny, państwowy, bezwzględnie poważny, był tylko pośrednio, w drugim lub trzecim dopiero stopniu, zadraśnięty; w istocie całej sprawy na jej dnie leżały błyszczące franki — wprawdzie franki obywateli francuskich, ale w każdym razie nie państwa, i nie walory rzeczywiście polityczne. Sprawa była przez pieniężność swoją delikatna, a ta jej delikatność nakazywała p. Constansowi jak największą powściągliwość, aby nie rozdymać sprawy prywatnej do rozmiarów wielkiej państwowej i nie zapalać się, nie zacietrzewiać tak, jak gdyby interes trzecich był interesem samego posła. Nieroztropne wejście się w tem wszystkiem jest winą owego temperamentu, użytecznego na posadzie prefekta, ale mniej potrzebnego na urzędzie ambasado-

ra. Natarczywość przed nakłonieniem sułtana do irade więcej jeszcze obciąża p. Constans, niż jego energia grożąca i wreszcie spełniająca groźbę po nieotrzymaniu obietnicy.

Jeżeli była sprawa o moje i twoje, która się nadawała do sądu polubownego, to ta, a przynajmniej jakiejś komisyi prawoznawców i handlowców powierzyć ją przedewszystkiem należało. Już po wyjeździe p. Constansa doniesiono o propozycyi zmierzającej do powołania sądu w Hadze. Byłoby to również zabijanie muchy kafarem. Sprawy takie, jak obecna, są w polityce drobnostkami, chociażby w nich chodziło nie o 41, ale o 100 milionów franków. Sąd w Hadze ma uśmierzać rzeczywiste spory polityczne; szkoda go na takie prywaty, jak obecna. Doczepienie do doków i bulwarów dwóch jeszcze spekulantów francuskich z Lewantu, niejakiego Loranda i niejakiego Tubiniego, którzy jeszcze od Amurata V pretensye swe wywodzą, pogarsza tylko sprawę honoru Francyi, bronionego przez Constansa. Honor jest nietknięty i ani sułtan, ani wielki wezyr dotykać go nie myślał. Niema co robić wielkiej rzeczy z drobnostki. Wolno *Figarom* perorować o godności; politycy poważni na całą tę akcyę stambulsko-paryską wzruszają ramionami. Wolno telegrafowi wysyłać już okręty do cieśniny Dardanelskiej; poważny czytelnik telegramów uśmiecha się na tę czupurność, kosztującą tylko trochę franków i farby drukarskiej. Głowy ministeryalne nie rozgrzewają się tak łatwo, jak reporterskie. Wojna w imaginacyach dziennikarskich w rozsądkach ministrów ukształtuje się zwolna—w burzę w szklance wody. Sułtan da większe odczepne spekulantom, a może zyska na tej burzy przystępniejsze warunki nabycia.

Tydzień polityczny. Brat panującego nominalnie cesarza chińskiego, Czun, przeznaczony na przewodnika pokutnego orszaku, przyjechał do Europy zaraz po 20 sierpnia i bezzwłocznie wyruszył do Berlina. Nagle w Bazylei wstrzymał dalszą swą podróż. Doniesiono zrazu, że zachorował, ale wkrótce powiedziano prawdę, że nie chce dalej jechać, dopóki pewne wątpliwości w jego posłannictwie usunięte nie zostaną. Wątpliwościami były ceremonie przepisane przez cesarza Wilhelma poselstwu chińskiemu na akt pokuty. Mieli Chińczycy upaść na kolana przed tronem otoczonym najwyższymi dygnitarzami, w sali najuroczystszych przyjęć, i trzykrotnie uderzyć czołem w posadzkę, tak jak przed samym bogdychanem. Czunowi taki ceremoniał wydał się zbyt upokarzającym nietylko dla niego samego, ale i dla państwa, które przecież samoistności swej jeszcze nie utraciło i lennikiem Niemiec nie jest. Latały przez cały tydzień prawie telegramy pomiędzy Pekinem, Bazyleą i Berlinem, aż wreszcie cesarz Wilhelm zgodził się na posłuchanie prywatne, na którem, rzecz prosta, bicie w ziemię nie byłoby już stosownem. We środę lub czwartek miało się to posłuchanie pokutnicze w skromniejszej postaci odbyć. — Protokóły w Pekinie do d. 2 września nie były jeszcze podpisane, i to nietylko przez same Chiny, ale i przez Europę. Zdaje się, że posłużą one już za niewzruszoną podstawę do ostatecznego traktatu; pewności jednakże niema. Edykt cesarski o wstrzymaniu dowozu broni na dwa lata jest ciągle przedmiotem nieporozumienia. Dwór chiński powraca do Pekinu w tym miesiącu.

Sprawy półwyspu Bałkańskiego zajmują dyplomacyę więcej od innych, ale tak cicho, w takiej skrytości, że dzienniki niewiele kombinacyami poszczycić się mogą. W ostatnich czasach zaostrzyły się stosunki przez agitacye włoskie i zapędy arnauckie, sułtanowi wrogie, w Albanii. Arnautom parostatki włoskie dowiozły 12 tys. karabinów. W Sofii byłym ministrom chcą wytoczyć proces; zgromadzenie narodowe już nad tem rozprawia. Ks. Ferdynad za granicą u wód. Król rumuński zawita do Wiednia. — W Ischl hr. Gołuchowski z cesarzem odbywał narady ważne, najprawdopodobniej w sprawie wschodniej, której wybuch znowu się zbliża. Na Krecie gorączkę uśmierzono; ks. Jerzy po powrocie objął spokojnie dalsze obowiązki gubernatora.

Kitchener wydaje nową proklamacyę: przenosi niewalczących Boerów z ich osad do umyślnie urządzonych obozów angielskich. Na całym obszarze wojennym nie wolno znajdować się na ulicy lub drodze po godzinie 10-ej wieczorem. W Londynie uwięziono Boera Krauzego, b. komendanta Johannesburga, za zdradę stanu i oddano pod sąd.

W Osnabrück odbyli katolicy niemieccy wiec, na którym między innemi zażądali powrotu jezuitów, motywując żądanie brakiem sił niezbędnych do prowadzenia młodego pokolenia drogą bogobojności, porządku moralnego i wogóle wychowania korzystnego dla państwa.

Między Wenezuelą a Kolumbią naprawdę przyszło do wojny. Okólnik zawiadamia o niej wszystkie mocarstwa. Dotychczas jeszcze krew nie płynęła. Amerykanie wkrótce staną na widowni.

W Danii radość. Po wielu latach rządów Estrupa król powołał do steru stronnictwo liberalne. D. 1 b. m. przyjmował deputacyę gmin całego kraju — 8,000 ludzi. Nowym gabinetem zawiaduje Deuntzer.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY GALICYJSKIE.

Szybkimi krokami zbliżają się wybory sejmowe, prawybory są już w pełnym toku, dzienniki przepełnione opisem cynicznych nadużyć kliki rządzącej, ale myliłby się ten, ktoby sądził, że w kraju panuje takie ożywienie, jakie np. istniało w przededniu ostatnich wyborów do sejmu. Rzecz ma się całkiem odwrotnie. Jakaś dziwna apatya opanowała społeczeństwo, powszechne zniechęcenie wżera się w umysły mas, które, widząc bezowocność swych wysiłków, z rozpaczą opuszczają ręce i z głuchą obojętnością przyglądają się machinacyom, za których pomocą klika zachowawcza obdziera je z najelementarniejszych praw obywatelskich. Chłop galicyjski widzi, że przy dzisiejszym systemie wyborczym, przy pośrednim głosowaniu i przy jawności wyborców te są w przeważającej większości wypadków prostą komedyą, i, że trzeba użyć niesłychanych wysiłków, ażeby wyniki wyborów bodaj w części odpowiadały woli wyborców. Protesty, reklamacye, skargi itd. najczęściej nic nie pomagają. Zjednoczone siły starosty, obszarnika, wójta, księdza i szynkarza na każdym kroku obracają w niwecz usiłowania najlepiej przygotowanych wyborców chłopskich. Setki zgromadzeń publicznych wypowiadają się przeciwko kandydatom zachowawczego komitetu centralnego, chłopi przy prawyborach głosują

Z DZIEŁ MULTATULI

(Douwes-Dekkera).

SPOLSZCZONE Z PRZEKŁADU NIEMIECKIEGO, DOKONANEGO PRZEZ WILHELMA SPOHRA *).

O powadze opowieść pierwsza.

Bracie, który wzrostem wyższy jesteś nade mnie, możesz li dostać tego jabłka granatowego, co wisi pomiędzy kwieciem ognistem w zieleni i śmieje się do mnie wargami rozwartemi, jak dziewka kusząca? Patrz, rozpękło to jabłko granatowe w dojrzałości swojej, a czerwoną jak krew jest rana, którą samo sobie uczyniło, by moją wzbudzić pożądliwość. Pożądam tego jabłka granatowego, bracie mój! Ty, który wzrostem przewyższasz mnie, wyciągnij rękę swą i zerwij, abym jadł.

I uczynił tak brat, aby jadł brat młodszy.

I zdarzyło się, że poszedł starszy na pole, a ujrzał kozę górską, która zeszła na niziny i szukała koźlątka swego.

— Ażali nie widziałeś jagnięcia mego— spytała lwa — ty, który mieszkasz w równinie i lepiej ode mnie znasz ścieżki na błoniu równem, tak męczące dla mnie, gdyż kopyto moje rozdwojone.

— Zapomnij jagnię swe, zapomnij koźlę swe—rzekł lew—i chodź, abym cię pożarł.

I uczynił lew jako rzekł.

A brat starszy zapytał lwa:

— Jakże to, że pożerasz kozę, co szuka swego koźlęcia?

— Słyszałeś, jak skarżyła się na niesprawność kopyt rozdwojonych — odrzekł lew.— Ażali nie dobrze uczyniłom, żem ją pożarł? Patrz na pazury moje, które są „sprawne“! Patrz na „sprawność“ kłów moich. Przeto więc pożarłem kozę górską.

Zadumał się młodzieniec i spojrzał na ramiona swe, które były długie, a silne, a potężne. I ujrzał, jako są „sprawne“ tak... że postanowił zniewolić brata do posługi swej.

A gdy ten prosił go po raz drugi, by zerwał owoce, rzekł mu:

— Patrz, oto ramiona moje. Ażali nie powiedziałeś: twoje nie dostaną jabłka granatowego? Służ mi przeto, abym cię nie pożarł.

Od tego czasu służył brat młodszy starszemu. Lecz nie rad był odkryciu, jakie ten zawdzięczał lwu.

I tak pozostało aż po dzień dzisiejszy.

. . . .

O powadze opowieść czwarta.

— Ojcze mój, powiedz mi, czemu nie spada słońce?

Ojcu wstyd było, iż nie wiedział, dlaczego nie spada słońce i ukarał dziecię swe przeto, że się wstydził.

Dziecię ulękło się gniewu ojca swego i nie pytało już nigdy, ani czemu słońce nie spada, ani o rzecz żadną, której tak bardzo wiedzieć pragnęło.

I nigdy dziecię to mężem się nie stało, pomimo że żyło sześć tysięcy lat...

Tępem pozostało i głupiem aż po dzień dzisiejszy.

O powadze opowieść piąta.

— Dokąd to, Philoinosie?—zapytał Hydor swego towarzysza, którego spotkał na ulicy Aten.

— Spieszę, abym wypił trzy kwarty lichego wina, które mnie czeka u najbrzydszej z trzech moich metres—odrzekł, zataczając się Philoinos.

Albowiem był pijany.

— Chodź ze mną, wina masz dosyć, a metres nadto, widzi mi się.

— Trzy, Hydorze, trzy! — Mistrz rzekł.

*) Patrz artykuł w numerze bieżącym.

mężnie na najpewniejszych, zupełnie oddanych im ludzi, a ostatecznie z urny wychodzą wyborcy, którzy oddadzą swe głosy kandydatowi konserwatywnemu. Wobec tego trudno się dziwić, że nie znać obecnie takiego ożywienia, takiego zapału, jaki ogarniał wyborców niezależnych przed sześciu laty.

Co prawda, wówczas w samym obozie ludowym panowały inne stosunki. Przeciwko obozowi reakcyjnemu na wsi szedł ławą chór chłopski. Stojałowski razem z Wysłouchem i Stapińskim kierowali masami chłopskiemi, które, rzec można, po raz pierwszy postanowiły na seryo zmierzyć się z konserwatystami na całej linii. Dziś obóz ludowy rozbity, dzięki przerzuceniu się ks. Stojałowskiego do obozu konserwatystów i chłopi - stojałowczycy puszczeni są bardzo sprytnie przeciwko własnym braciom — chłopom ludowcom. Tam, gdzie świadomość ludu nie rokuje żadnych zdobyczy dla kandydata konserwatywnego, staje popierany przez wszystkie czynniki reakcyjne chłop-stojałowczyk, ażeby uniemożliwić zwycięstwo kandydatowi ludowców.

Kto wie jednak, czy pomoc ks. Stojałowskiego konserwatystom, udzielona tak energicznie w obecnym ruchu przedwyborczym, nie będzie ostatnią zasługą, wyświadczoną przez niego klice rządzącej. Jego powaga jest już mocno nadszarpana, ostatni jego zwrot odebrał mu licznych zwolenników nawet w tych sferach, które pozostały wiernemi księdzu-redaktorowi po słynnych procesach z redakcyami paru dzienników. W niektórych miasteczkach ks. Stojałowski wprost nie może się pokazać ludziom bez wywoływania niepochlebnych dla siebie owacyj. Na licznych zgromadzeniach chłopskich niedawni jego zwolennicy otwarcie występują przeciwko byłemu swemu wodzowi i nie dają mu przyjść do głosu. W dodatku we własnym jego obozie panuje niesłychany rozgardyasz. Należy dodać, że ks. Stojałowski stał się dziś z człowieka, który bądź co bądź posiadał pewne ideały, najzwyklejszym spekulantem politycznym. Niepospolity talent agitatora i publicysty popularnego, umiejętność wpływania osobistego na masy, aureola wieloletniego męczennika za sprawę ludową — wszystko to dziś stało się u księdza Stojałowskiego prostym środkiem zdobywania gotówki. Na własnych współpracowników, na najbliżej stojących przedstawicieli partyi zapatruje się on jako na źródło dochodu, każąc opłacać swoim posłom niesłychanie wysoką „taksę,“ nabywać specyalnie *ad hoc* stworzone wydawnictwa, obrazy itd., nie mówiąc już wcale o zwykłych składkach, tonących bez żadnej kontroli w niezmiernie pakownych kieszeniach księdza-redaktora.

Przedmiotem bardzo zyskownej spekulacyi pieniężnej stały się dla ks. Stojałowskiego kandydatury sejmowe. Za znaczną opłatą wciąga on na listę „zatwierdzonych“ przez (fikcyjny) Zarząd partyi kandydatów, których naturalnie nie brak. Ponieważ zaś ks. Stojałowski obowiązuje się popierać prawie w każdym okręgu jednocześnie *kilku* kandydatów, przeto można sobie wyobrazić, jakie owoce przynosi taka taktyka, tem bardziej, że w całym szeregu powiatów popiera on kandydatów stańczykowskich *przeciwko* członkom własnej partyi. W rezultacie obóz stojałowczyków trawiony jest przez walkę wewnętrzną pomiędzy kandydatami i kandydatami na kandydatów. Wzajemne zawiści, ukryte współzawodnictwo, niezadowolenie z wyroków księdza-redaktora, wszystko to wybucha obecnie coraz już częściej w kształcie buntu, otwartego. Po pośle Kubiku, który otwarcie zerwał ze Stojałowskim i przeszedł do stronnictwa ludowego, zbuntowali się dwaj inni posłowie: Wilk i Bomba. Nie chcieli oni zapłacić ks. Stojałowskiemu za „zatwierdzenie“ ich kandydatur, więc ten ogłosił ich za zdrajców i przeciwstawił im kontrkandydatów. Wilk i Bomba jednak nie stracili nadziei, że uda się im pozyskać mandaty bez poparcia ks. Stojałowskiego, więc zbliżyli się z ludowcami, którzy będą głosowali za nimi. Rzecz bardzo wątpliwa, ażeby wpływy Stojałowskiego przeżyły tę anarchię, jaką dobrowolnie, ze względów materyalnych, wytworzył we własnem stronnictwie. Najprawdopodobniejszem jest, że wszystkie niezdemoralizowane żywioły chłopskie skupią się w obozie stronnictwa ludowego, które dziś istotnie jest jedyną szczerze chłopską partyą na wsi.

Stanowisko ludowców jest obecnie niezmiernie trudne, gdyż przeciwko niemu są wymierzone wszystkie pociski ze strony zjednoczonej reakcyi. Zaczynając od czynników administracyjnych, a kończąc na pionkach ks. Stojałowskiego — wszystko to stara się uniemożliwić zwycięstwo kandydatom ludowców. Tymczasem stronnictwo ludowe po za partyą robotniczą nie posiada żadnych sojuszników, gdzie niegdzie nawet t. z. demokraci starają się pozyskać zatwierdzenie stańczykowskiego komitetu centralnego lub ks. Stojałowskiego.

Przypatrzmy się teraz tym nadużyciom, które mogą zapobiedz zwycięstwu kandydatów niemiłych dla kliki rządzącej. Naturalnie wszystkich wyliczyć niepodobna, wymienię więc tylko najbardziej typowe.

Oto np. starostwo krakowskie rozpisało prawybory (wybory wyborców, którzy następnie głosują na kandydatów) na wtorki i piątki, a więc na te dni, kiedy ludność z całego powiatu zjeżdża na targ do Krakowa. W bardzo wielu miejscowościach wcale nie ogłaszano terminów prawyborów, zawiadamiając ludność o nich w ostatniej chwili. Dzieje się to nietylko po wsiach, ale również i w miastach. Tak np. w Łańcucie odbyły się prawybory 16 sierpnia, ale nikt z mieszczan nie brał w nich udziału, bo nie nie było wiadomo, na kiedy są zapowiedziane. W rezultacie zebrało się kilkunastu prawyborców, naturalnie całkiem oddanych konserwatystom; ci to prawyborcy wybrali 9 wyborców, w tej liczbie... starostę. Chłopi skarżą się powszechnie, że kilku zaufanych prawyborców wybiera więcej wyborców, niż jest zebranych. Przy prawyborach głosują naganiacze konserwatystów w dwóch i nawet kilku gminach naraz. Aby zmylić czujność wyborców, komisarze zarządzają prawybory w innych lokalach, aniżeli podano w ogłoszeniach urzędowych. Dzieje się i tak, że jeśli wyborca opozycyjny otrzymuje więcej głosów od reakcyjnego, komisarz jak najspokojniej ogłasza wyrok tego ostatniego. Tak było np. w Wyciążach pod Krakowem, gdzie b. poseł Wójcik, otrzymawszy trzydzieści kilka głosów nie został uznany za wyborcę, natomiast zausznika starościńskiego, za którym głosowało zaledwie 11 prawyborców, komisarz powołał na wyborcę. W powiecie Chrzanowskim, gdzie kandyduje znienawidzony przez chłopów i robotników hr. Potocki, komisarze objeżdżają gminy i każą chłopom głosować na ludzi „pewnych,“ na wójtów, leśniczych i gajowych Potockiego. Piekarzom w Tenczynku powiedziano, że gdy, by nie głosowali na nadleśniczego i wójta, nie mogliby kupować potrzebnego im drzewa w lasach Potockiego. Wobec wielkiego nacisku ze strony kandydata stańczykowskiego, chłopi w Krzeszowicach —

I upadł Philomos po raz trzeci tego wieczora. Lecz tym razem nie powstał już.

I leży tak aż po dzień dzisiejszy.

O powadze opowieść szósta.

Onego czasu narodziło się dziecię pierwsze na świecie. W zachwycie była matka, a ojciec też patrzał na nie z miłością rzewną.

— Lecz powiedz mi, Geniuszu, zawsze li pozostanie tak maluczkiem?— pytała matka.— Nie wiem — dodała — ażali mam pragnąć tego! Radabym ujrzała dziecię swe człowiekiem, a jeszcze żal mi będzie, gdy tak się zmieni, że nie będę mogła nosić go więcej na rękach i karmić sobą.

— Dziecię twoje rozkwitnie, aż stanie się człowiekiem — rzekł Geniusz. — Nie będzie ono zawsze żywiło się tobą. Przyjdzie czas, że nie będzie noszone przez ciebie.

— Geniuszu! — zawołała matka w lęku swym — czy dziecina nie pójdzie precz ode mnie? Gdy będzie umiała biegać, czy nie ucieczе ode mnie? Cóż mi czynić, aby nie opuściła mnie dziecina moja, gdy nauczy się biegać?

— Miłuj swe dziecię a nie opuści cię — odparł geniusz.

Tak było. I tak pozostało czas niektóry. Lecz oto poczęło się rodzić dzieci mnóstwo. A było rodziców wiele, którym ciężyło bardzo miłować tę liczną dziatwę.

Wówczas nakaz wymyślono, aby zastąpić miłość, tak jako wiele innych nakazów. Albowiem łacniej nakaz dać, niż miłość.

Pamiętaj, abyś czcił ojca swego i matkę swoją!

Dzieci opuszczały rodziców swych, jeno tylko nauczyły się biegać. Dodano do przykazania zaklęcie:

Aby ci się dobrze wiodło po wszystkie dni żywota twego!

Wtedy wiele dzieci pozostało przy rodzicach! Aliści nie tak pozostały, jak marzyła matka pierwsza, kiedy pytała geniusza: „Cóż mi czynić, aby nie opuściła mnie dziecina moja, gdy nauczy się biegać?“

I tak pozostało aż po dzień dzisiejszy.

. . . .

O powadze opowieść ósma.

Thygater *) doiła krowy ojca swego, a doiła bardzo dobrze, albowiem mleko, które przynosiła do domu, dawało więcej masła, niżli mleko, które znosili bracia jej. Powiem ci, dlaczego tak było, a uważaj pilnie, Fancy *), abyś wiedziała... gdy zdarzy ci się, że pójdziesz doić krowy. Lecz mówię ci nie przeto, abyś doiła tak, jak Thygater, lecz abym ci wskazał jako przykład braci jej, którzy mniej dobrze dojąc, lepiej czynili. *Rozumnej* przynajmniej.

Zanim wkroczy na pastwisko młódź wiejska, stoją u płotu krowy i czekają, by oswobodzono je od nadmiaru, który one zachowały w sobie właściwie dla swoich cieląt. Lecz ludzie zjadają cielęta, „ponieważ czują się ku temu sprawnymi,“ a wtedy mleka nadto jest w wymionach krów.

Cóż dzieje się, kiedy tak krowy z wyrazem głupim stoją u płotu? Kiedy stoją tak nieruchome, wtedy lżejsza część mleka zbiera się u wierzchu w wymionach.

Więc kto doi cierpliwie aż do resztek, ten tłuste mleko niesie do domu, komu spieszno — pozostawia śmietankę.

A oto patrz, Thygater nie było spieszno, ale braciom jej było spieszno.

Albowiem ci twierdzili, że mają prawo czynić coś więcej, niż doić krowy swego ojca. Ona zaś o prawie takiem nie myślała.

*) Thygater po grecku — córka; w sanskrycie — dziewka dojąca krowy.

*) Parabole te były umieszczone w książce zatytułowanej „Listy miłosne“; listy zaś te były pisane do kochanki poety, Fancy; ten wyraz angielski znaczy *fantazya*.

siedlisku hrabiego—zupełnie pow strzymali się od udziału w prawyborach. Listy wyborcze prawie wszędzie są pofałszowane, wszelkie zaś reklamacye bardzo rzadko odnoszą skutek, tem bardziej, że w niektórych okręgach listy wykładane są do przejrzenia w przededniu prawyborów. Listy te są sporządzone na podstawie nie ostatniego, lecz poprzedniego spisu ludności, wskutek czego liczba wyborców jest mniejsza od tej, jaka być powinna.

Wszystko to dzieje się przy prawyborach. Wybory ostateczne wywołają nową seryę nadużyć i to tem większych, że będzie tu już chodziło nie o wyborców, tylko o samych posłów.

Chętnych kandydatów na posłów namnożyło się w Galicyi bardzo dużo. W samej kuryi IV (chłopskiej), wybierającej 74 posłów, jest ni mniej ni więcej tylko przeszło 1000 kandydatów. Każdy z nich używa wszelkich środków, aby zdobyć mandat i biedny chłop, napastowany ze wszech stron, po prostu traci wszelką możność rozglądania się w położeniu, nie mówiąc już o tem, że olbrzymia większość tych kandydatów oddziaływa świadomie demoralizująco na włościaństwo. W ostatnich czasach utworzyły się specyalne przedsiębiorstwa mandatowe. Za opłatą pewnej, dość nawet skromnej sumy, można zostać kandydatem i znaleźć się na liście jednej z tych „partyj,“ z których każda w komplecie może utworzyć co najwyżej kilka partyj preferansa, ale które wywiesiwszy sztandar „chrześciańsko - ludowy,“ „katolicko-narodowy“ lub „narodowo - antysemicki“ łapią ryby w mętnej wodzie położenia przedwyborczego. Naturalnie, żaden z takich kandydatów nie może liczyć na powodzenie, ale zawsze dostanie jakieś „odszkodowanie“ za zrzeczenie się kandydatury, a w najgorszym razie zdobędzie „sławę,“ która mu przy sposobności też jakiś dochód przynieść może.

W miastach na razie cisza. Dopiero teraz zaczynają się odbywać pierwsze zgromadzenia przedwyborcze, na których stają kandydaci ze swojem wyznaniem wiary. Większe ożywienie zapanuje tu dopiero przed samymi wyborami.

Daleki.

Z NIEMIEC.

Berlin, 2 września.

Gdy przed dwoma laty w lipcu odbywały się pierwsze zebrania służących, ruch przedstawiał wówczas jeszcze przedhistoryczny chaos, w którym wyraźnie zarysowywał się jeden tylko punkt: niezadowolenie. Na mównicę wchodziły pokojówki i kucharki, a z ust ich lały się potoki żółci i bólu, wzruszające i wstrząsające spowiedzi doznanych krzywd i upokorzeń. Skargi te przedostawszy się do prasy za pośrednictwem znękanych „ogórkami“ reporterów, wywołały spazmy pań, które po całorocznej ciężkiej pracy odpoczywały bądź na wilegiaturze, bądź w ogniskach masowego tokowania, zwanych miejscowościami kąpielowemi. Na tem koniec. Dopiero z biegiem czasu z mgławicy pierwotnej skrystalizował się wyraźny program, wyłoniła się stała organizacya, wysnuła się taktyka bojowa, a nawet utworzył się pogląd na rzeczy społeczne. Każdy ruch bowiem z początku usiłuje oprzeć się na kierunkach pokrewnych, z biegiem czasu jednak zmuszony jest torować sobie mniej lub więcej odrębną drogę. Przyjrzyjmy się ścieżce, po której kroczą dziś nasze bojowniczki.

Tym razem uderza nas przedewszystkiem, iż żądania natury ekonomicznej figurują w szarym kącie, zajmując bardzo szczupłą przestrzeń. Na plan pierwszy wysunięto atoli życzenia prawno-społeczne, a nacisk położono na anachronizm tkwiący w średniowiecznej ustawie o czeladzi dworskiej, której tu, podobnie jak w całej Europie, podlegają służące, pomimo iż normy odnośne przykrojono do innych stosunków społecznych i odmiennego trybu życia. Przepisy te są wyrazem patryarchalizmu, gdzie wszystko przystosowywa się do dobrej lub złej woli głowy domu, obdarzonej przywilejami samowładcy. Podczas gdy inne współczesne kontrakty robocze określają nadzwyczaj drobiazgowo zarówno przedmiot umowy, jak równoważnik, to w stosunku służbowym jedno i drugie przedstawia się mglisto i zależy w wysokim stopniu od widzimisię kontrahenta społecznie silniejszego. Ta dowolność prawna ciąży jarzmem na służbie i wskutek tego musi uledz gruntownej reformie. Istnieją rozmaite projekty w tej sprawie, ale dla nas jest ważnem to, iż zdanie rzeczoznawców jednomyślnie wytyka niezgodność kontraktu służbowego z indywidualizmem i wolnościowemi dążnościami współczesnego ducha ludu.

Na drugiem miejscu znajduje się żądanie zniesienia piętna Kainowego w postaci bezmyślnej książki służbowej, często nader szkodliwej, gdyż dającej powód do niezliczonych utarczek, ciężkich krzywd oraz wybryków mściwości i swawoli. Ponieważ w stosunku służbowym spory są na porządku dziennym, należy zgodnie z duchem dzisiejszych prądów prawnych uprzystępnić słabszemu opiekę sprawiedliwości. Wskutek tego wszelkie procesy odnośne mają być rozpatrywane nie przez sądy cywilne o procedurze zawiłej, rozwlekłej i kosztownej, lecz przez forum przemysłowo-rozjemcze, gdzie rzecz toczy się z błyskawiczną szybkością, gdzie formalności doprowadzono do *minimum*, a pośrednictwo obrońcy wykluczono. Z tego już widzimy, iż sługa chce otoczyć się tym samym wałem obronnym, za którym znajdują schronienie miliony pracowników ręcznych. Świadczy o tem również punkt, dotyczący zabezpieczenia państwowego służby domowej na wypadek choroby w razie kalectwa i na starość. Najwięcej jednak napsuły krwi żądania w sprawie noclegu, czasu roboczego i odchodnego. Chyba najbardziej zatwardziały wstecznik nie weźmie służącej za złe, iż nie chce sypiać w barłogu, niegodnym istoty ludzkiej i niewytrzymującym krytyki pod względem hygienicznym. Niestety, bardzo trudno będzie ująć przepisy odnośne w karby ścisłej formuły prawnej. Co prawda, można byłoby apelować do czułych serc i wrażliwego sumienia szlachetnych pań. Ale doświadczenie wykazało, że nie ma nic śmieszniejszego nad takie kołatanie do czyjegoś miłosierdzia. Przystępując do jakiejkolwiek reformy, trzeba na wszelki wypadek pamiętać o aforyzmie Hobbesa *Homo homini lupus*. Najrozpaczliwiej bronią się gospodynie przeciw następstwom, dotyczącym wychodnego i dnia roboczego. Dotychczas słyszeć nie chcą o tem, aby służąca, która zaprzedała się państwu swemu ciałem i duszą, mogła rozporządzać godzinami wieczornemi według własnej woli oraz aby opuszczając w niedzielę dom o godzinie 4-ej po południu, mogła wracać kiedy jej się żywnie podoba. Jedne panie, oburzone tego rodzaju zamachem na święte prawa własności, znajdują w swym sło-

---

— Ojciec nauczył mię strzelać strzałą i łukiem — mówił jeden z braci. Ja mogę żyć z łowów i chcę bujać po lasach i błoniach, żyć i pracować dla siebie samego.

— Mnie nauczył łowić ryby — mówił drugi. Głupim byłbym, gdybym chciał wiecznie doić krowy nie moje.

— Pokazał mi on, jak uczynić czółno — wołał trzeci. Ścinam drzewo i siadłszy na pień, puszczam się na wodę. Chcę wiedzieć, co tam jest po drugiej stronie jeziora.

— Mam ci ochotę zamieszkać z jasnowłosą Gyne*)— oświadczył czwarty, abym miał dom własny i swoje Thygater, któreby dla mnie doiły.

Tak każdy z braci miał pragnienie, żądzę, wolę. A tak byli pochłonięci dążeniami swemi, że żaden z nich nie przestrzegał czasu, aby zabrał śmietankę, którą krowy smutne musiały zachować przy sobie bez pożytku dla kogokolwiek.

Thygater zaś doiła do ostatniej kropli.

— Ojcze — zawołali w końcu bracia — odejdziemy!

— A któż doić będzie? — pytał ojciec.

— Ano, Thygater!

— A jakże będzie, gdy i ona zapragnie jeździć, łowić, oglądać świat? Jakże będzie, gdy i jej przyjdzie myśl zamieszkać z istotą jasno czy ciemnowłosą, aby miała dom swój ze wszystkim dobytkiem? Bez was obyć się mogę, lecz bez niej nie... albowiem tłuste bardzo jest mleko, które przynosi do domu.

Rzekli tedy wnet po namyśle synowie:

— Więc ojcze *nie ucz jej niczego!* Wtedy będzie wiecznie doiła krowy, aż do końca żywota swego. Nie pokaż jej, jak cięciwa napięta, kurcząc się miota strzałę: nie będzie miała żądzy ku łowom. Utaj przed nią popęd ryby, która rzuca się na haczyk, skoro wdziejesz nań kęsek ścierwa: nie zapragnie wtedy zarzucać wędki i sieci. Nie nauczaj jej, jak wydrąża się pień, aby puścić się w nim na wodę: nie zatęskni wtedy ku drugiej stronie jeziora. I niech nie dowie się nigdy, jak to można z istotą jasnowłosą lub ciemnowłosą mieć siedzibę własną i dobytek. Niech nigdy nie dowie się o tem wszystkiem, ojcze, a pozostanie przy tobie i mleko krów twoich będzie tłuste. Jednakże... dozwól nam pójść, każdemu za pożądaniem swojem.

Tak mówili synowie; wszelako ojciec — jako że był ostrożny, odparł:

— Aliści, kto przeszkodzi, aby ona poznała, czego ja jej nie nauczę? Jakże będzie, gdy zobaczy ważkę wodną, płynącą na liściu unoszonym przez falę? Jakże, gdy spostrzeże, że nitka jej przędziwa kurczy się i ściągnięta miota przypadkowo czółenko jej krosien? Jakże, jeżeli ujrzy na brzegu strumyka, jak ryba rzuca się na czerwia, lecz w zapędzie łapie paszczą za ostre źdźbła trzciny. I jakże nareszcie, jeżeli znajdzie gniazdko, które uwiły sobie skowronki w koniczynie w miesiącu majowym?

Zadumali się znów synowie i rzekli:

— Nie nauczy się ona stąd niczego, ojcze! Zbyt głupią jest, by żądzy zaczerpnęła z świadomości. I my nie wiedzielibyśmy nic, gdybyś ty nam nie był powiedział.

Lecz ojciec rzekł:

— Nie, głupią ona nie jest! Obawiam się, że nauczy się sama z siebie, czego byście wy nie poznali beze mnie. Głupią nie jest Thygater!

Znów zadumali się synowie — tymczasem bardziej — i rzekli:

— Ojcze, powiedz jej, *że wiedzieć, rozumieć, pożądać — grzechem jest dla niewiasty!*

Teraz ojciec, bardzo ostrożny, był uspokojony. Dał wolę synom, by szli na łowy, puszczali się wpław, szukali żon... na wszystko dał im wolę...

Lecz zabronił wiedzy, zrozumienia i pożądania swej Thygater, która w prostocie doiła krowy po wszystkie dni żywota.

I tak pozostało aż po dzień dzisiejszy.

(D. n.)

*) Również po grecku — kobieta.

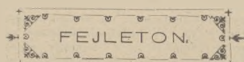
wniku jeden tylko wyraz dość dosadny dla jego scharakteryzowania: rewolucya; inne zaś, nie chcąc brać do ust tak brzydkiego słowa, zaklinają straszne widmo emancypacyi służących wyrazem: mrzonki!

Jeśli jednak zważymy, iż przedstawiciele inteligencyi i etyki społecznej są po stronie niezadowolonych, że jest pewna grupa pań, które znajdują po za zabawą, strojeniem i flirtem rzeczy wznioślejsze w życiu, które pamiętają o tem, iż one, jako płeć uciskana, same nie powinny uciskać, to łatwo przewidzieć, iż mury Troi wkrótce runą. Tymczasem służące, zachęcone dotychczasowymi rezultatami swej kampanii, głoszą dalej nieustraszenie ewangelię swego wyzwolenia. Przedewszystkiem zwołują regularnie i często zebrania dla zaznajamiania i oswajania zarówno publiczności, jak sług, z ruchem i jego hasłami. Podczas gdy dawniej na zgromadzeniach tych wodzili rej przeważnie dowódcy pochodzący ze sfer obcych sługom, dziś rola chorążych przechodzi stopniowo do lepiej postawionych kucharek, zatrudnionych w hotelach, pensyach itp. i pobierających niekiedy po 100 marek miesięcznie (przy t. zw. francuskiej kuchni). Te przedstawicielki sztuki kulinarnej, względnie niezależne, obdarzone taktem, ogładą towarzyską, inteligencyą i wykształceniem, w sposób bezinteresowny poświęcają siły swe ruchowi. Na zebraniach, pomimo iż prawo głosu przysługuje wszystkim obecnym, występują przeważnie sługi: nie krępując się niezbyt gruntowną znajomością gramatyki, roztrząsają płynnie swym domorosłym stylem wszystkie kwestye palące swej kasty paryasów. Panie tymczasem bądź przez przekorność, bądź przez dumę, rzadko biorą udział w dyskusyi i czynią to zazwyczaj dość niezręcznie. Kierowniczki zebrań znajdują się dziś jeszcze pod wpływem członków stojących po za kulisami partyi narodowo-społecznej; czynny udział atoli tych reżyserów maleje stopniowo tak dalece, iż wkrótce sprawa emancypacyi służących spocznie wyłącznie na barkach sfer zainteresowanych. Że kucharki i pokojówki nadają się nietylko do szorowania garnków, że posiadają tak rozległy widnokrąg, iż zdolne są w istocie zająć się rzeczami bardziej doniosłemi, świadczą stworzone przez nich dwie wielkie organizacye. Różnią się one właściwie tylko tem, iż jedna przyjmuje na członków wyłącznie służbę domową płci obojej, podczas gdy w drugiej pracują ręka w rękę ze sługami panie. Ta oto różnorodność żywiołów, obracających się w drugiem towarzystwie, jest jedyną właściwie przyczyną rozłamu. Po za tem obie organizacye mają charakter jednakowy i cele wspólne. W obydwu składka miesięczna wynosi 30 fenigów (14 kop.), dążeniem zaś tych instytucyj jest zniesienie obowiązującej po dzień dzisiejszy zaśniedziałej ustawy o czeladzi, urządzenie racyonalnych biur pośrednictwa, wykształcenie fachowe służby, udzielanie jej w razie potrzeby obrony prawnej i wsparć pieniężnych oraz podniesienie jej poziomu umysłowego. Stowarzyszenie składające się tylko ze sług, jest przez nie wyłącznie kierowane, bez pomocy doradców i wolonterek lub sportsmenek. Pomimo to interesy towarzystwa są we wzorowym stanie i porządku. Z krwawego grosza członkiń, składanego ofiarnie na ołtarzu celów wspólnych, powstał fundusz, mający posłużyć na założenie przytułku dla dziewcząt bezdomnych, kalekich i pozbawionych zajęcia.

Większe jeszcze zasługi położyło drugie pod względem społecznym mieszane towarzystwo, którego liczba członków rośnie z każdym miesiącem. Przedewszystkiem charakteryzuje organizacyę fakt, iż dla nazwy jego ukuto nowy wyraz „Dienstangestelte,“ chcąc wyrugować pogardliwy termin „sługa.“ Dalej towarzystwo powołało do życia biuro służących, do którego jednak, dziwna rzecz, garną się przeważnie panie, niekiedy szumowiny tej sfery, okrzyczane sekutnice i dręczycielki swych podwładnych, bojkotowane przez służące i biura. Charakterystycznym jest fakt, że niektóre członkinie towarzystwa nie pozwalają swym służącym zapisywać się do niego, a gdy lekceważą ten zakaz, starają się przynajmniej ukryć przed nimi lub nie wręczają im nadchodzących pod adresem służących sprawozdań, odezw i innej korespondencyi towarzystwa. Co się tyczy udziału czynnego pań, to okazało się, iż w większości wypadków niechętnie wstępują do zarządu, bądź dla tego, że posiedzenia jego odbywają się późno, bądź ze względu na żenujące nieco koleżeństwo kucht i pokojówek. Co prawda, zdarzają się wypadki. Przez pewien czas zasiadała nawet w zarządzie pewna pani obok swej własnej służącej. Na ogólne zebrania zwoływane dwa razy miesięcznie, gospodynie również niechętnie uczęszczają widocznie dlatego, iż przykro im jest wysłuchiwać lub odpierać w sposób odpowiedni oskarżenia, wystosowane pod adresem ich sfery. Służące jednak radzą sobie same bardzo dobrze, o czem świadczą wygłaszane przez nie zajmujące i doskonałe odczyty w rozmaitych kwestyach, ściśle związanych z ich sprawą.

Trzeba przyznać, iż jeszcze wielka część ogółu „damskiego“ traktuje ruch wrogo. A jednak musi i ta opozycya zczasem ustać, gdy panie zrozumieją, iż powinny mu sprzyjać w swym własnym interesie. Przedewszystkiem niektóre przestarzałości instytucyi służbowej są ze szkodą dla samych pań. Książka służbowa np. stała się balastem i bardzo często wprowadza w błąd swemi kłamliwemi świadectwami. Częstą zmianę miejsc i czas pobytu łatwo stwierdzić w sposób inny, gdy służące przyjmowane będą do ubezpieczenia państwowego. Ta ostatnia reforma jednocześnie wybawiłaby panie i służące z wielkiego kłopotu w razie choroby pracownicy. Skrócenie dnia roboczego i większa wolność osobista służby może tylko przyczynić się do polepszenia stosunku pomiędzy sługą a gospodynią. Co zaś ważniejsza, napływ kandydatek na rynek służbowy, o czem pisaliśmy w swoim czasie, słabnie. Chwilowo popyt i podaż wyrównały się, dzięki temu, iż niektóre gospodynie zrezygnowały ze służącej. Postępy techniki gospodarskiej i zaprowadzenie kuchen stowarzyszeniowych podług wzorów angielskich, po części przyszły w danym razie paniom z pomocą. W większych i bogatszych gospodarstwach siła ludzka nie da się jeszcze zastąpić czynnikami nieosobowymi i dlatego uchylenie głowy przed zasadą „społecznego pokoju“ stanie się dla odnośnych sfer koniecznością.

H. F.



LIBERUM VETO.

Ludzie ogromnie ułatwiliby sobie życie i poprawili swoje wzajemne stosunki, gdyby mogli zrozumieć, że pewne ich przekonania i upodobania nie nadają się ani do sporu, ani do apostolstwa. Psychologicznie jest zupełnie usprawiedliwionem, że każdy chciałby, ażeby to, co on uznaje i kocha, uznawali i kochali wszyscy, że nawet polubiwszy kluski, radby cały świat karmić kluskami; ale praktycznie wymaganie takie bywa zwykle niedorzecznem lub śmiesznem, a chociaż Donkiszot mniej lub więcej tkwi w każdym człowieku i jest najpowszechniejszym jego typem, nie powinien być jego wzorem. Jeżeli nie możemy w Rossynancie widzieć zwyczajnej szkapy, a w Dulcynei — zwyczajnej dziewki, to przynajmniej nie zmuszajmy nikogo do podziwu dla nich.

Życie wytwarza przyjemności mnóstwo, prawd daje mało; z tego nieustosunkowania wydobywa się często i staje przed nami pytanie: co więcej warte, czy łut ścisłej wiedzy, czy cetnar rozkosznego złudzenia? Pytanie równie bezmyślne, jak wiele innych, nad któremi wyrywały sobie pierze filozofujące koguty. Co więcej warte? Odpowiedź prosta: to zależy od gustu. Bo nie ulega wątpliwości, że są ludzie, którzy drobnemi okruszynami wiedzy żyć nie mogą, którzy potrzebują ogromnej masy zadowoleń za wszelką cenę i którzy wolą iluzyami pachnący, iluzyami ogrzany i oświetlony dzień, niż najrzęsiściej prawdami ugwieżdżoną noc. Daremnie przekonywalibyście ich o nikłości takiego snu na jawie, odpowiedzą wam: wy także śpicie, tylko że was dławi zaduch i kąsa robactwo, a my toniemy w czarownych marzeniach; zawieście nad nami słońce wszechwiedzy, będziemy żyli w jego promieniach, ale dopóki to życie nasze oświecacie łojówkami, które jedni z was zapalają a drudzy gaszą, wolimy nasze piękne złudzenia. Argument nie do odparcia.

Przed kilkudziesięciu laty pojawił się w literaturze niemieckiej poeta, którego tragiczna kolej wywiodła zupełnie z rzeczywistości i wprowadziła w krainę marzenia. Naprzód bardzo wcześnie ogłuchł. Bywał on w pewnym wiedeńskim salonie literackim, gdzie długo intrygował gości swem zachowaniem się. Unikał bowiem rozmowy, ale z gorejącym wzrokiem wpatrywał się w usta mówiących i grą twarzy okazywał, że ich doskonale rozumie. Ponieważ zaś oprócz gospodyni domu i paru innych osób nikt nie wiedział o jego kalectwie, więc tłomaczono sobie milczenie młodzieńca tylko nieśmiałością. Dopiero gdy Henryk Landesman pod pseudonimem Hieronima Lorma wydał zbiorek utworów, które zwróciły na siebie powszechną uwagę, dowiedziano się, że był głuchym.

Los bywa często tak okrutnym, jak ludzie. Przed dwudziestu laty ugodził on Lorma drugiem kalectwem—ślepotą. „Odgrodzony podwójnym murem od świata“ porozumiewa się z nim nieszczęśliwy poeta jedynie zapomocą osobnego języka znaków, które sam obmyślił, mianowicie za pomocą szeregu naciśnięć, robionych na jego dłoni a odpowiadających głoskom. Tą drogą otrzymuje wszelkie wiadomości — jeśli tak rzec można — rozmawia i czyta. Bo ciągle zajmuje się literaturą i śledzi jej rozwój. Nikogo to zapewne nie dziwi, że z jego ust i z pod jego pióra sączy się strumień smutku, a raczej tęsknoty do utraconego świata. Przecież to także człowiek. Ale niech nikt nie sądzi, że ten smutek pogłębia się kiedykolwiek bezdenną rozpaczą lub spada kaskadami burzliwego gniewu. Nie, płynie on napojony cichą rezygnacyą. „Młodość moja — powiada Lorm — podobna była do sztuki teatralnej, pełnej krzykliwego ruchu, z często zmieniającemi się dekoracyami i mnóstwem występujących osób. Nagle spadła zasłona i rzadko zdarzająca się samotność stworzyła scenę mojego późniejszego życia.“ Czy podobna, ażeby ten męczennik z olbrzymim talentem, z płomiennem uczuciem, od 64 lat głuchy, a od 20 i ślepy, mógł tak spokojnie znosić swoją niedolę, gdyby on za owym „podwójnym murem“ nie miał własnego, fantazyjnego świata, który mu zastępuje rzeczywisty i nie odbiera chęci istnienia nawet w 80 roku starości? A czy on ten świat zawdzię-

cza jedynie własnej bosko-twórczej wyobraźni?

Jeden anioł dobroci i poświęcenia ukryty w kobiecie zdolny jest zgładzić zbrodnie wszystkich tkwiących w niej dyabłów. Natura jak gdyby chcąc zrównoważyć olbrzymie jej wady i niegodziwości, obdarza ją od czasu do czasu tak wspaniałemi cnotami, że w ich blasku przyćmiewają się najpotężniejsze światła geniuszu męskiego. Kobieta umie być najnikczemniejszą jędzą w sabacie czarownic, ale umie także być prawdziwie świętą. Oczy ukochanej były zawsze dla mężczyzny okularami, przez które on patrzał na świat. Nawet najbardziej samodzielny widzi pewną liczbę zjawisk przez te soczewki. Lorm, straciwszy wzrok i słuch, posługuje się wzrokiem i słuchem żony. I tu właśnie spoczywa najpiękniejszy akcent tej oryginalnej tragedyi.

Rzecz dziwna, dwaj znakomici poeci, francuski i polski, dali kalece, odciętemu od bezpośrednich stosunków ze światem, rolę bohatera w dramacie i osnuli go niemi opowieści sztucznej, wątłej, niby pasmem majaczeń zgorączkowanej muzy. Tymczasem niezmiernie oryginalne, głęboko wzruszające a przytem prawdziwe położenie Lorma nie znęciło żadnego pisarza do oprawienia tego obrazu w ramy artystyczne. Nie znam żadnego innego rysu znamionującego charakter żony nieszczęśliwego „samotnika," ale jeden wystarcza mi do przypuszczenia, że jest to kobieta niezwykła i godna pożyczać swoich oczu i uszu genialnemu mężowi. Znając jego idealistyczny nastrój, jego nadmierną wrażliwość, jego tak wielką odrazę do wszelkiego „naturalizmu" zarówno w życiu i literaturze, że Zolę nazywał „wieprzem umiejącym pisać" a Nietzschego „filozofującym waryatem," przetwarza mu świat i życie według form, zapewniających największe zadowolenie. Odwiedza go wiele kobiet, wdzięcznych za przyjaźń, którą im stale okazywał. Są między niemi naturalnie stare i brzydkie, żona jednak wyciska mu na dłoni zachwyty nad ich nadzwyczajną urodą. Wszystkie są w jej doniesieniach młode i piękne, a biedny kaleka wierzy, że jest ciągle otoczony wieńcem najcudowniejszych kwiatów rodu niewieściego. I tak się dzieje ze wszystkiem. To długoletnie podmalowywanie i upiększanie rzeczywistości rozdmuchuje ciągle w poecie tęsknotę do widoków, których on już oglądać nie może, tak dalece, że kiedy go namawiano, ażeby spisał pamiętniki, odpowiedział: „ja nie żyłem; moje więc pamiętniki byłyby chyba wołaniem o ratunek do wydartego mi świata." Z drugiej wszakże strony tą czułą i delikatną ręką kobiety zwijana przędza rozkosznych złudzeń dostarcza mu wątku do tkania ponętnych wzorów życia, które mu łagodzą straszną niedolę. Jeżeli w milczącą ciemność jego duszy można wrzucić jakieś jasne promienie, to tylko za pośrednictwem takiego szlachetnego kłamstwa. A jeżeli zdanie, że kobieta jest słodyczą gorzkiego życia mężczyzny, bywa nieraz słusznem, to chyba nigdy nie potwierdziło się oczywistszą prawdą.

Zresztą bodaj w myśli spojrzcie na tego starca, który dotknięty podwójnem kalectwem zachował do sędziwego wieku pogodę umysłu i odpowiedzcie, co wolelibyście: czy skamieniałe w jego twarzy cierpienia, zaprawione odrazą do rzeczywistości, której wszystkie ohydy przesiąkły przez maskę zmartwiałych zmysłów, czy łagodny uśmiech przeświecający na niej z głębi ukołysanego baśniami ducha? Ten uśmiech jest tworem, zasługą i tryumfem Lormowej; czy zaszczytniejszym dla jej miłości i starań byłby ustawiczny jęk lub gniew tego ducha, dobywający się z ciemnicy długiego i dozgonnego więzienia? A może nieoszczędzona mu katusza wydobyłaby z niego skarby myśli i uczuć więcej warte, niż te, które ofiarował literaturze z balsamem iluzyi na niezagojonych ranach? W każdym razie kwestya godna zastanowienia.

Od lat wielu miałem ciągle w pamięci tę wyjątkowo tragiczną postać wraz z jej aniołem stróżem, który ją pod czułem skrzydłem prowadził do grobu W zeszłym miesiącu obchodzono 80-tą rocznicę urodzin wygnanego ze świata poety. Zdawało mi się, że i my powinniśmy go sobie przypomnieć, chociaż go mało znamy.

Poseł Prawdy.



BADANIA NAUKOWE.

JAK POWSTAŁY PIENIĄDZE?

(Dokończenie).

Wogóle, znaki pieniężne powstawały z tych rodzajów pieniędzy, które posiadały praktyczny cel jakiś. Z chwilą, gdy środki pieniężne tracą cel praktyczny, są już tylko symbolem właściwej wartości, stają się znakami pieniężnymi. Najłatwiej przemianie tej ulegają materyały, służące do okrycia ciała. Paseczki bawełniane, krążące w środkowym Sudanie jako pieniądze, często są tak wązkie, że nie dają się użyć do żadnych praktycznych celów; tak samo kawałki sukna, małe maty itd. Za czasów np. panowania portugalskiego kursowały w dolnem Kongo, jako rodzaj pieniędzy papierowych, małe maty, zaopatrzone w stempel rządowy, przedtem zaś bez stempla służyły tam za pieniądze.

Wreszcie, do pieniędzy wewnętrznych należą jeszcze *pieniądze święte*, mistyczne. Widzieliśmy już, że te przedmioty, które najpierw wydzielają się z masy innych jako własność prywatna i stają się potem pieniędzmi, nie przedstawiają żadnej realnej wartości, uznawanej przez cały świat, lecz, że wartość ich zależy od czysto subjektywnej oceny danego plemienia. Do oceny tej przyczynić się może nietylko przeniesienie własnego jestestwa na dany przedmiot, za pomocą artystycznego jego obrobienia, lecz inne warunki, jak np. rzadkość danego przedmiotu, niebezpieczeństwo, związane z jego dobyciem itd. Należą tu kły dzikich zwierząt, rogi, czaszki zwierzęce i ludzkie itp. Wreszcie, wiek pieniędzy przyczynia się również do zwiększenia ich wartości. Gdy pieniądze jakiegoś plemienia mają bardzo stare pochodzenie, wyrób ich na miejscu jest niemożliwy, a przypływ z zewnątrz dawno ustał, wtedy fantazya otrzymuje pole do mitologicznych wymysłów. Stare skorupy, uchodzące za pieniądze na wyspach Palau, mają swój początek w niebie, przeniesione były przez bajeczne jakieś ptaki i ryby lub znalezione na brzegu tajemniczych wysp. W ozdobach świętość pieniędzy przejawia się w rozmaity sposób. Wiele przedmiotów, noszonych, jako ozdoby, służą jeszcze jako amulety, chroniące od złego, szczególnie zęby, kły, dzioby, rzadkiej formy korzenie i kamienie, lustra itd. Niektóre ozdoby pięknością swej formy ułaskawiają groźne duchy, w innych tkwi sam duch opiekuńczy. W ornamentyce rozmaitych przedmiotów wyraża się często to pojęcie ozdoby. Muszle-pieniądze używane bywają również jako amulety. Z drugiej strony, niektóre monety, np. talar S-go Grzegorza, przemieniają się w talizmany. Stare weneckie pieniądze złote, na których przedstawiony jest Chrystus i Marek Ewangielista, stanowią najbardziej ulubione amulety kobiet z Mekki, owego środkowego punktu Islamizmu. W Tybecie rupje indyjskie szybko rozpowszechniły się dla tego, że głowę królowej Wiktoryi przyjęto za Dalai-Lamę i monecie tej przyznano szczególną wartość mistyczną. Inną przyczyną powstawania świętych rodzajów pieniędzy jest ich stosunek do zmarłych właścicieli, do kultu przodków. Ponieważ pieniądz przez krótszy lub dłuższy czas był w rękach zmarłych, więc łatwo wiąże się z nim czar mistycyzmu. Kult zmarłych tworzy nawet bezpośrednio nowe wartości i pieniądze. Powstały z niego kult czaszek przodków prowadzi do tego, że zbiór czaszek nabiera wielkiej wartości i nieraz wchodzi w obieg, jako pieniądz. Dzięki temu, niektórzy kapitanowie, grasujący przez długi czas na morzu południowem, mordowali niewinnych tubylców i czaszki ich zamieniali na drogocenne dla siebie rzeczy, dorabiając się w ten sposób majątku.

Jeszcze inną drogą pieniądze otrzymywały charakter świętości, nawet u ludów wyżej posuniętych w kulturze. Jak dawno zmarłym do grobu pieniądze, tak samo ofiarowywano bogom drogocenne rzeczy. W ten sposób zgromadziły się w świątyniach ogromne skarby, i chociaż spoczywały tam nieruchomie, to jednak z czasem kapłani zaczęli wypożyczać, na odpowiedni procent. Msze i jarmarki, odbywające się w bliskości świątyń, sprzyjały obiegowi nagromadzonych skarbów świętych: „Bogowie byli pierwszymi kapitalistami w Grecyi, ich świątynie pierwszymi bankami." Kapłani Afrodyty Uranii, której świątynie znajdowały się na wszystkich punktach handlu morskiego, wprowadzili pierwsi obieg pieniężny i kredyt. Oni byli też pierwszymi, którzy stemplowali kawałki metalu wizerunkami swej bogini i w ten sposób dali początek mennictwu. Kapłani innych bogiń również wcześnie wydawali monety, najprzód w formie nagród za zwycięstwo i pamiątek z gier publicznych, i gdy państwo wzięło się do uporządkowania systemu pieniężnego, świątynie służyły dalej za mennice, a pieniądze otrzymywały przez to wyższe poświęcenie bogów. To samo powiedzieć można i o pewnej części Wschodu, głównie zaś o Fenicyanach, którzy pod względem handlowym służyli w wielu sprawach za wzór Grekom.

Należy sądzić, że i wymieniacze pieniędzy, których Chrystus wypędził ze świątyni jerozolimskiej, posiadali pewne prawo historyczne do tego miejsca: w czasach starożytnych pieniądze, handel i religia były z sobą w najlepszej zgodzie, i najbrudniejsze monety wymienne, które na jarmarkach przechodziły z rąk do rąk, lub zbierały się na stole lichwiarza, niepozbawione były czaru świętości.

Pieniądze wewnętrzne w formie typowej, w której stanowią wyraz poglądów danego plemienia i służą tylko socyalnym stosunkom wewnętrznym, tracą swe znaczenie w chwili zawiązywania się stosunków zewnętrznych handlowych. Zależnie od rodzaju tych stosunków, pieniądze wewnętrzne ulegają przemianom w rozmaity sposób. Wprawdzie, pieniądz wewnętrzny często tam jest już produktem handlu zewnętrznego. Ponieważ jednym z warunków jego powstania jest, aby go nie można było wytwarzać w dowolnej ilości, więc wprowadzony jest jako towar przez plemiona sąsiednich lub bardziej oddalonych krajów. Korzystają z tego kupcy krajów cywilizowanych, którzy nieraz całemi masami przywożą plemionom pierwotnym dane przedmioty, jako pieniądz wewnętrzny i w ten sposób osiągają wielkie zyski. Masy kauri - muszli, kursujących w Afryce zachodniej jako pieniądze, pochodzą z Afryki wschodniej; sprowadzili je w niezliczonych ładunkach kupcy europejscy. Często z powodu zbyt wielkiego przywozu jedne pieniądze wewnętrzne tracą wartość i zamieniane bywają przez

inne. Handel jednak dąży zwykle do stworzenia własnych norm obiegu i wymiany i formy te wybiera nie z pośród różnych rodzajów pieniędzy wewnętrznych, lecz z rozmaitych towarów.

Powstanie stosunków handlowych między rozmaitemi plemionami odbywa się w sposób bardzo różnorodny. Często stosunki te powstają ze zwyczaju wzajemnego dawania sobie podarunków. Plemiona pierwotne albo znajdują się wzajemnie na stopie wojennej, albo pokojowej: w ostatnim razie, gdy jedno plemię wchodzi w stosunki z innem, następuje wymiana darów. Z tego również umieli korzystać podróżni i kupcy europejscy, biorąc drogocenne przedmioty, jako dary, wzamian za przedmioty, które dla Europejczyka nie mają prawie żadnej wartości. Jak jednak z dobrowolnych darów poddanych rozwinęły się podatki, tak z darów, które podróżni składają przywodcy plemienia, powoli rozwinęły się daniny handlowe i *cła*. Ale stosunki handlowe rozwijają się nietylko z pokojowej wymiany darów, lecz i wojna daje nieraz początek wymianie handlowej. Bogactwo jednego plemienia, posiadającego np. źródła solne, wywołuje zawiść drugiego, które chce mu je odebrać za pomocą wojny. Słabe plemiona, którym z tego powodu grozi zagłada, wolą nieraz oddać silniejszym część swych bogactw dla odżegnania niebezpieczeństwa. Jeżeli przy tej okazyi silniejsze plemię odwzajemni się podarunkami ze swej strony, co się nieraz zdarza, wtedy łatwo rozwija się wymiana wzajemna. Jako jedna z początkowych form handlu, znany jest również „handel niemy,“ przy którym strony wymieniające nie wchodzą w żadne bliższe stosunki i nie wymieniają z sobą ani jednego słowa. Może formę tę poprzedzają wojny, po których bezpośrednio handel staje się „niemym.“ W każdym razie związek historyczny między rozbójnictwem morskiem, a handlem jest faktem, właściwym narodom, zamieszkującym brzegi morskie, czy to będą Fenicyanie, Portugalczycy czy też Anglicy.

Z początku handel ten odbywa się nawet regularnie bez wartości pieniężnych: jest to bezpośrednia wymiana produktów, stanowiących środki wymienne, i jako środki wymiany, ale nie znaki i mierniki wartościowe, produkty te mogą być uważane już za pieniądze *zewnętrzne*, tembardziej, że wymiana produktów na tym stopniu rozwoju odbywa się nie w celu zadowolenia własnych tylko potrzeb, lecz nowo nabyty przez wymianę produkt jest zamieniany na nowy itd. Jednocześnie zjawiają się już początki pośrednictwa handlowego i wytwarza się dość ożywiony handel bez pieniędzy o nowożytnem znaczeniu. Ktoś np. nagromadza masę soli, której sam nie wytworzył i która nie jest mu potrzebna, może ją jednak wymienić wśród plemion sąsiednich na rzeczy mu potrzebne, lub do wymiany nowej dla innych plemion. Jeżeli plemiona sąsiednie pożądają tej soli, to nabiera ona wśród nich tego samego znaczenia, co ich pieniądze wewnętrzne. W ten sposób znika granica, jaką pieniądz wewnętrzny wytworzył między plemionami. Właściwości pieniędzy zewnętrznych i wewnętrznych zlewają się lub tylko dopełniają. Czasami wytwarza się pieniądz pośredni między zewnętrznym i wewnętrznym, który służy w obiegu wewnętrznym do zakupu produktów, nie stanowiąc jednocześnie właściwych pieniędzy wewnętrznych. Czasami tego rodzaju pieniądz mieszany dodawany bywa do pieniędzy wewnętrznych, jako dopełnienie, jako drobna moneta i w ten sposób otwiera się droga do zlania się pieniędzy wewnętrznych i zewnętrznych w jeden pieniądz. Z drugiej strony niektóre rodzaje pieniędzy wewnętrznych znajdują powszechne przyjęcie, jako przedmioty przez wszystkich pożądane, lub przez wszystkich mniej więcej jednakowo cenione dla swych właściwości ozdobniczych lub innych, rozpowszechniają się w wielu krajach, prócz zwykłych swych właściwości otrzymują jeszcze właściwość środka wymiennego i stają się już więcej udoskonalonym rodzajem pieniędzy zewnętrznych. Natomiast wewnętrzne, które dla handlu zewnętrznego nie mają żadnego znaczenia, powoli znikają. Słowem, w odróżnieniu od wewnętrznych, pieniądze zewnętrzne są towarami, powszechnie i chętnie przyjmowanymi, trwałymi, które wskutek tego służyć mogą za medium w stosunkach handlowych. W miarę, jak towary takie stają się miernikiem wartości i bogactwa, nabierają charakteru udoskonalonych pieniędzy. Zwykle proces ten odbywa się pod wpływem pieniędzy wewnętrznych, które ze swej strony ulegają to wycofaniu, to znów przemianom i rozszerzeniu swego znaczenia pod wpływem pieniędzy zewnętrznych. Ze zlania się ich wytwarza się pieniądz w znaczeniu wyższej kultury.

Długiego jednak trzeba było czasu i rozwoju kultury, zanim wytworzyły się stałe i określone mierniki wartości, jakimi są pieniądze dzisiejsze. Z początku liczne rodzaje pieniędzy istnieją jedne obok drugich bez określonego stosunku, co stwarza mnóstwo kłopotu podróżnym i teren wyzysku dla kupców europejskich. W niektórych krajach wymienić można jeden przedmiot tylko na dany inny, lecz nie na wszystkie, co się objaśnia różnorodnością pieniędzy i przyzwyczajeniami historycznemi, które wynikły z niejasnych stosunków jednych pieniędzy do innych. W Bornu np. miernikami wartości były kauri — muszle, obok nich krążyły również talary Maryi Teresy; pomimo to trudno było nieraz kupić środków spożywczych. Kto chciał tam kupić zboża a miał tylko talary, musiał naprzód zamienić na muszle, za nie kupić koszulę i po wielu jeszcze innych wymianach mógł dostać zboża. Kupcy, znający lepiej od tubylców wartość rozmaitych pieniędzy, umieli wykombinować takie schematy wymiany, które dawały im znaczne zyski. Wygodniej już jest, kiedy jedna miara lub waga danego towaru jest uznaną, jak w niektórych miejscach, za wprost równą tejże mierze lub wadze innego towaru, gdy np. dana miara soli warta tyleż, co równa miara zboża, ostatnia tyleż co równa miara muszli, jak to było niedawno jeszcze na niektórych brzegach afrykańskich. Często bywa tak, że niektóre drogocenne rzeczy sprzedane być mogą również za drogocenne, tak że ilością nie można zrównoważyć jakości. W Afryce np. można często kupić niewolników nie za pieniądze, za które kupuje się żywność lub inne rzeczy, lecz tylko za kość słoniową lub strzelby i proch. Jest to w związku z całym stopniowym rozwojem stosunków wymiennych i pieniędzy. Jeżeli np. jedno plemię wymienia z drugiem garnki na strzały, to łatwo zakorzenia się pogląd, że za garnki należy brać tylko strzały i naodwrót.

Brak określonej jednostki wartości prowadzi do rozmaitych prób uregulowania cen przedmiotów ważniejszych za pomocą rozmaitych, niezależnie obok siebie kursujących rodzajów pieniędzy. Dzieje się to zwykle w ten sposób, że kupno nie może się odbyć za pomocą jednego gatunku pieniędzy, lecz że wiele z nich figurować musi w określonym stosunku. Podróżnik Fischer płacił np. Massajom za wołu 30—40 obręczy drucianych żelaznych, 10 mosiężnych i 40—100 sznurów pereł, za inne przedmioty wyższej lub niższej ceny w tym samym stosunku pieniędzy. Jeszcze bardziej skomplikowane są ceny, gdy wymagany bywa nietylko stosunek pieniędzy, lecz i wielka ilość gatunków pieniężnych, czasami 30 i więcej. W dalszym jednak ciągu rozwoju pewna określona ilość towarów, które najczęściej podlegają wymianie, staje się jednostką miary, względem której wszystkie inne towary wstępują w określony stosunek wartościowy. Stąd powstają już wyższe mierniki wartości, jakimi są nasze pieniądze.

A. Warska.

NOTATKI NAUKOWE.

— *Rocznika międzynarodowego Instytutu socyologicznego* (Annales de l'Institut International de Sociologie) opuścił prasę tom VII za rok 1901. Miał on zawierać całkowite prace IV zjazdu socyologicznego; tymczasem jednak główna dyskusya nad materyalizmem ekonomicznym, ze względu na swą objętość, nie mogła wejść do tego tomu i odłożono ją do następnego, który wyjdzie w początkach roku przyszłego. Za to znajdą się tam nietylko referaty kongresowe: biuro Instytutu wzywa wszystkich jego członków do nadesłania swoich uwag i opinij o materyalizmie historycznym.— Tom VII rocznika, który mamy przed sobą, zawiera inne dyskusye IV kongresu. Otwiera go i, można śmiało powiedzieć, ozdabia referat prof. M. Kowalewskiego p. t. „Gens i klan.“ Na zasadzie swej głębokiej i rozległej wiedzy porównawczo-prawnej uczony rosyjski wykazuje tożsamość grup rodowych, istniejących pod różnemi nazwami u różnych ludów europejskich i „dzikich,“ oraz wykazuje, że istota tego zrzeszenia polega nie tyle na pokrewieństwie, ile na wykluczeniu z jego wnętrza wszelkich powodów walki i niezgody, a więc przedewszystkiem — prywatnego przywłaszczania dóbr i kobiet. Znacznie mniejszą ma wartość kompilacya Raula de la Grasserie p. t. „La famille artificielle“ — przegląd różnych objawów pokrewieństwa fikcyjnego, które tak licznie występują w dziejach rodziny.

Socyolog amerykański, Lester Ward, w obszernym referacie p. t. „La mecanique sociale“ dał zarys swej teoryi socyologicznej. Odróżniając, za Comtem, statykę i dynamikę społeczną, prostuje on jednak pogląd pozytywistów i organicystów, którzy pojmują te dwa działy analogicznie. W anatomii i fizyologii funkcya organu należy również do statyki, i dopiero przemiana funkcyj, tak jak przemiana gatunków, stanowi przedmiot dynamiki. Jeśli *synergia*, czyli zestosowanie rozbieżnych sił jest zasadą statyki społecznej, wytwarzającą instytucye, to *konacya* (od *conari* — robi wysiłek) jest zasadą dynamiki: a polega ona na inowacyach, przedewszystkiem w zasadniczej sferze produkcyi, zmiany przez człowieka swego środowiska naturalnego. Wardowi chodziło tu poprostu o najogólniejsze pojęcia socyologiczne; taką dał on też odpowiedź na reklamacyę pierwszeństwa ze strony dr. Leona Winiarskiego, który od roku 1894, w szeregu artykułów, ogłaszanych w pismach francuskich, włoskich i polskich i w swych kursach na uniwersytecie genewskim, idąc śladami szkoły „ekonomii czystej,“ stosuje pojęcia i operacye matematyczne do ekonomii i socyologii.

Ożywioną dyskusyę wywołuje ostra, choć raczej literacka krytyka, wymierzona przez Eugeniusza de Roberty przeciw pojęciu rasy w socyologii i osnutym na niem ruchom politycznym w rodzaju antysemityzmu i nacyonalizmu.

Tomu dopełnia też obszerna dyskusya z dziedziny „socyologii stosowanej,“ czyli poprostu praktycznej polityki socyalnej, na temat polubownego rozstrzygania zatargów pomiędzy kapitalistami a robotnikami, wszczęta przez Alberta Jaffe z Hamburga, prowadzona przez Limousina Coste'a, Johna Jaffe, Wormsa i Kowalewskiego.

Z listy członków Instytutu, którego prezesem w r. b. jest prof. Karol Menger z Wiednia, widać, że należy do niego sześciu Polaków: Gumplowicz jako członek, Balicki, M. Goldberg, Krauz, Makarewicz, Winiarski, jako *associés*. Francya ma 26 członków obu kategoryj, Włochy 17, Rosya 12, Hiszpania 12, Anglia 11, Belgia i Niemcy po 8, Ameryka Półn. 7, Węgry

3, Austrya (niemiecka) 2. Ogółem Instytut liczy obecnie 85 członków i 42 *associés*; maximum, oznaczone statutem, wynosi 100 i 200.

LITERATURA I SZTUKA.

MULTATULI.

Niema wyniosłości. Niema pokory. Jest tylko prawda lub kłamstwo. Co ponadto — pochodzi z krainy pygmejów.

* * *

Może nic nie jest zupełnie prawdziwe, a może i to nieprawda.

*

Sztuka — w najwznioślejszem znaczeniu — jest środkiem najpotężniejszym ku wzbudzeniu poczucia piękna. A więc jest— środkiem uszlachetnienia. A więc—ćwiczenia są w sztuce używania. A więc — środkiem prowadzącym ku cnocie. A więc— środkiem zbliżania się do szczęścia.

Tych kilka aforyzmów charakteryzuje doskonale człowieka, który je napisał, Edwarda Douwes-Dekker'a. W pismach swoich sam siebie nazywał Multatuli, t. j. „który wiele znosi." A nazwa ta znów charakteryzuje rzeczywiście dosadnie jego życie. Był synem holenderskiego kapitana okrętu i za młodu wstąpił do służby jako urzędnik kolonialny w posiadłościach Niderlandów indyjskich. Przez lat siedemnaście przebywał w owej cudnej „Insulindzie," na Jawie zwłaszcza i Sumatrze. Tu stał się mężem, tu odebrał wrażenia, jakie na zawsze miały zdecydować o jego poglądach o życiu.

Jakie były te wrażenia? Czy pamiętacie czytelnicy wiersze Heinego opiewające—dzieje handlarza niewolnikami, *Mynheer van Kock*? Marli jak muchy niewolnicy umieszczeni w okręcie, z braku ruchu i powietrza, więc wypędzał na pokład, biczem zagrzewał do skoków i modlił się.

Podobnie też rządził Mynheer van Kock w Insulindzie. Mynheer jest bardzo porządnym, poważnym i bogobojnym człowiekiem. Żeby krzywdę czynić komukolwiek — broń Boże! Na wyspach Indyj nie gnębił bynajmniej tuziemców. Uczynił wszystko, co mógł uczynić, pozostawił ludności zupełny „samorząd," nie strącił książąt miejscowych z ich stanowisk, tylko nałożył im pewne, bardzo łagodne obowiązki. Książęta rządzili sobie teraz, i wszystko było w porządku; że tam trzymali oni lud w niewoli strasznej, to już ich rzecz. Mynheer'owi do tego nic. Tylko o jedno mu chodziło: Mynheer handluje kawą, indygiem, cynamonem, gwoździkami, tytuniem—godziwa to rzecz. Na wyspach Insulindy rodzą się te produkty, więc Mynheer pragnie je stamtąd nabywać — godziwa to rzecz. Nie wydrze on ich nikomu — broń Boże: wchodzi tylko w układ z książętami krajowymi, by dostarczali tych wyrobów jak najwięcej — godziwa to rzecz. A że książęta, chcąc dostarczyć tych towarów, zmuszają swych poddanych, by uprawiali zamiast prosa i ryżu te wartościowe produkty na swoich polach i nimi płacili daniny niepomiernie— to już rzecz książąt. A jeżeli owi poddani, dlatego, że muszą uprawiać kawę, indygo, cynamon, tytuń itd. mrą głodem, ponieważ nie wystarcza ryżu i prosa — to już rzecz poddanych. Mynheerowi co do tego?

I oto nasz Multatuli został urzędnikiem w Insulindzie. Przebiegłszy szybko stopnie niższe, został *asystentem-rezydentem*, tj. urzędnikiem przy boku jednego z owych książąt tuziemnych, „regencie." W przepisach powiedziano, że asystent ma obowiązek bronić ludność przed zbytnim uciskiem „regenta;" nasz Multatuli był tylo naiwnym, że wziął na seryo taki przepis: Wiedział, że krzywda się dzieje poddanym Jawajczykom, więc bronił ich. Sam nie mógł postąpić ze zdzierczą—księciem jak należało, więc podał zażalenia do zwierzchnika swego „rezydenta." Było to znów nieco naiwnem: Mynheer rezydent musiał przecież postępować z księciem tak, by w Rotterdamie było dużo kawy, cynamonu, imbiru, indyga—godziwa rzecz! Ale nie bardzo: bo Jawajczyka gnębiono, a Multatuli, któremu prawo nakazywało, by chronił Jawajczyka od pognębienia, był na łasce teraz mściwego księcia zagrożony nożem lub trucizną. Więc jął Multatuli bronić się i niepokoić urzędy — naiwny! Wyparto go z Insulindy, gwoli spokoju, bo tylko przy spokoju kwitnie handel cynamonem, imbirem, tytuniem i kawą.

Wrócił tedy Multatuli do ojczyzny i z początku starał się tu uzyskać sprawiedliwość. Ale w fotelu ministeryalnym siedział Mynheer van Kock, na ławach parlamentu siedział Mynheer van Kock, a jego mądrość kończyła się na kalkulacyi:

Gewinne daran achthundert Prozent
Bleibt mir die Hälfte am Leben *).

Multatuli chwycił się jedynego środka, jaki pozostał. Od zgrai, sprawującej rządy w Niderlandach, odwołał się do potomstwa owego narodu bohaterskiego, co ongi umiał poradzić sobie z psiarnią cesarzy rzymskich, umierać śmiercią wielkich ludzi i zwyciężać. Napisał powieść „Max Havelaar," w której opisał, co widział i czego doznał w Insulindzie. Ze wszystkich „*J'accuse*," jakie rozlegały się kiedykolwiek, powieść ta należy do najpotężniejszych może. Bystry umysł, wyostrzony doświadczeniem życiowem, wsparty tu jest rozbujałą fantazyą; maczugą argumentów, czerpanych ze ścisłej znajomości rzeczy, ostrzem szyderstwa razi autor swoich czytelników; cudnymi obrazami, na jakie zdobyć się może tylko wielki poeta, stara się on rozbudzić duszę swego narodu, by odczuła, że „krzywda się dzieje Jawajczykowi," że w Insulindzie panuje „system nadużycia, mordu i rabunku, pod którym jęczy biedny Jawajczyk."

Książka ta, według świadectwa spółczesnych, wywarła wrażenie ogromne. „Dreszcz zgrozy przebiegł po kraju," jak się wyraził w parlamencie jeden z opozycyonistów, i były powody ku temu. Bo oto np. co odważył się pisać ten człowiek: „Wioskę zajęło wojsko holenderskie, *więc* stała ona w płomieniach." O to jedno „więc" wszczęto polemikę gorącą. Rzeczywiście, jakże to: wojsko europejskie, uzbrojone w armaty i karabiny wyborowe, uśmierza bunt garstki nieszczęsnych tybulców, których doprowadził do rozpaczy „system zdzierstwa, mordu i rabunku;" wojsko, to wysłane w imię „porządku," walczy pod sztandarem cywilizacyi" i—wojsko to staje się bandą podpalaczy?... To zastanawiało bądź co bądź ludzi w roku 1860. Dziś — gdyby nowy Multatuli napisał takie zdanie, nie wywołałoby ono polemiki. W najnowszym okresie polityki kolonialnej tak przywykliśmy do mordów, pożogi, egzekucyj masowych w Afryce, w Indyach, Chinach, Australii, na Madagaskarze, że nic już nas nie zadziwi. Multatuli napisał: „wioskę zajęło wojsko holenderskie, więc stała w płomieniach," i zdaniem tem rzucał oskarżenie straszne—a dziś? Dziś czytamy w *sprawozdaniach urzędowych* o „ekspedycyach" wojskowych Anglików w Dahomeju, Francuzów w Tonkinie, Niemców w Kamerunie, takie rzeczy: „wioski powstańcze zburzono." Sędziowie nie znali języka krajowego, cały „sąd" nad kilkudziesięciu ludźmi trwał godzinę! — zostali rozstrzelani" itd., itd. Dziś czytamy „listy Hunnów" o czynach armii narodów cywilizowanych pod wodzą marszałka, mieszkającego w domu azbestowym, o mordach, o gwałceniu niewiast, o pożogach, o topieniu ludzi setkami, by szło sporzej dzieło mordowania — a przecie nie widzimy by „dreszcz zgrozy" wstrząsnął społeczeństwem! Nic dziwnego: Przeżyliśmy od tego czasu czterdzieści lat „kultury i cywilizacyi;" postęp widoczny!

Zresztą — w roku pańskim 1860 po Niderlandach „dreszcz przeszedł," ale nic z tego nie wynikło. Mynheer—rząd państwowy zaproponował wynagrodzić autorowi romansu Multatuli krzywdy, jakie poniósł urzędnik kolonialny Max Havelaar, ale ponieważ człowiek Douwes-Dekker był dumnym jak Multatuli, a doświadczony jak Max Havelaar, odrzucił propozycyę i zażądał, aby przedewszystkiem zmieniono system gwałtu, mordu i rabunku na taki, przy którym nie działaby się krzywda Jawajczykowi, Mynheer zaś orzekł, że tego być nie może, gdyż zmniejszyłyby się zyski z handlu kawą, tytuniem, indygiem, cynamonem i gwoździkami. I wszystko pozostało jak było.

Wszystko; tylko—śród narodu, nad którym panuje dotąd Mynheer nawpół handlarz, nawpół pirata, nawpół plantator, a przedewszystkiem wilk giełdowy, słowem *bourgeois* w całej swej obrzydliwości—pojawił się człowiek zbolały i zgryziony; mądry, wykształcony, o duszy ognistej, przepełnionej blaskami, barwami, wonnościami, jakie wchłonął w siebie za oceanem, w Insulindzie, śród cudów przyrody podzwrotnikowej i biednych, cierpiących Jawajczyków. I człowiek ten samopas puścił się teraz na bój z Mynheerem-Bourgeois, począł smagać go biczem satyry, buntować przeciwko niemu umysły, wojować przeciw fałszowi, przeciw obłudzie, hypokryzyi, powadze fałszywej. Straszny to był bój, pełen tragizmu, zwycięstw i porażek. A walka była o tyle nierówną, że bohater nasz doświadczył na sobie samym prawdy.

Ja das Schrecklichste auf Erden
Ist der Kampf mit Ungeziefer
Dem Gestank als Waffe dient.
Das Duel mit einer Wanze! *).

(*Heine*.)

Inaczej też być nie mogło: Różnił się od ogółu, więc stroniono od niego; był wyższym nad innych rozumem, więc spotwarzano go; był czystszym nad innych, więc opluto go. Tak było i tak będzie zawsze. Prorocy uznania nie znajdują. Dobrze jeszcze, gdy im pozwolą umierać śmiercią przyzwoitą na krzyżu, na stosie; gorzej tym, których o śmierć przyprawią w błocie maluczkich udręczeń życiowych, w kale oszczerstw, potwarzy, łajdactw.

Multatuli przeszedł to wszystko. Aż nadto często wraz z rodziną głodem przymierał. Swego „Max Havelaar" pisał siedząc w oberży w Brukselli, gdzie jakiś niezwykle przyzwoity szynkarz udzielał największemu poecie Niderlandów kredytu przez siedem miesięcy. Gdy dzieło było skończone, autor spotkał się z najgorszą ze wszystkich pluskiew — z mecenasem. Jakiś szubrawiec, znany literat holenderski, Jacob van Lennep, podjął się wydawnictwa, a autor nie mając pieniędzy na druk, musiał się zgodzić. I oto co się stało. Dzieło wydano w 1,300 egzempl. po 4 guldeny; wobec tego nie dopięło ono swego celu, nie dostało się do najszerszych kół. Kiedy zaś rozchwytano pierwsze wydanie, wów-

*) Jeżeli zyskam na tem 80 procent, połowa zostanie mi w życiu.

*) Tak, najstraszniejszą na ziemi jest walka z robactwem, któremu odór służy za broń — pojedynek z pluskwą.

czas wydawca oświadczył, że jako właściciel dzieła — kupił je na własność za 1200 guldenów — nie pozwala na drugi nakład. Dla czego? Mynheer Lennep dał odpowiedź taką: „Dzieło dostało się do rąk takich, jak należało; nie pozwolę, by dostało się do rąk motłochu i narobiło biedy.“ Czytaj: „by nie poniósł szwanku handel kawą, tytuniem itp.“ Mynheer zawsze był szubrawcem i pozostanie nim. Czy każe się tytułować „Wohlgeboren,“ „Esquir,“ czy „wielmożny“ — na jedno wyjdzie.

Nie lepiej się działo z innemi pismami Dekkera. Próbował pisywać dla pism peryodycznych; redaktorowie odrzucali mu fejletony, bo „czytelnicy ich nie rozumieli“; związał się z nakładcą — ten go oszukał. A pomimo to człowiek ten, żyjąc prawie ciągle w nędzy, dopiero na schyłku dni znalazł przyjaciela, który pomógł mu utworzyć lepsze warunki bytu. Walcząc z najokropniejszemi dolegliwościami, zdążył napisać od r. 1880—1888, w którym umarł, 12 tomów. Z tego siedem zajmują „Idee,“ zbiór aforyzmów, przypowieści, parabole, które porównać można chyba do tego tylko, co pisał Fryderyk Nietzsche, a czasem jest wahanie, któremu z nich, Nietzschemu czy Dekkerowi, należy się pierwszeństwo. Dramat „Szkoła książąt“ stał się najpopularniejszym z utworów scenicznych w Holandyi; a wogóle na dziełach Dekkera dziś jeszcze bogacą się nakładcy. Tak — dziś należy on do najbardziej cenionych autorów, od niego datują odrodzenie literatury holenderskiej.

Lecz nietylko zwyciężył poeta Multatuli, zwyciężył także Douwes-Dekker człowiek, szermierz prawdy: podkopał on bowiem panowanie Mynheera-Bourgeois; od pojawienia się jego pism datują się nowe prądy umysłowe w Holandyi, a to następnie zrodziły ruch polityczny i społeczny, w kierunku wrogim dla dotychczasowych władców robigroszów, wyzyskiwaczów i katów Insulindy.

Z dziełami Douwes-Dekkera teraz dopiero zapoznał się świat szerszy, kiedy gorący wielbiciel jego, Wilhelm Spohr, wydaje te pisma po niemiecku *). Wdzięczność się za to należy tłomaczowi, gdyż umożliwił nam poznać się z człowiekiem, który ma wiele do powiedzenia, jest jednym z tych, co każą nam wierzyć w szlachetność rodzaju ludzkiego.

Dr. J. B. Marchlewski.

*) Dotąd ukazały się cztery tomy: „Wyjątki z pism,“ „Max Havelaar,“ „Liebesbriefe,“ „Millionstudien.“ Nakład J. C. C. Brun. Minden.

M. Biernacki (Rodoć).

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Dziwnie przygnębiające wrażenie wywarł na nas telegram ze Lwowa, (tego smutnego grodu, który w ostatnich latach mógłby nosić nazwę miasta samobójców polskich), przynoszący żałobną wiadomość, że d. 31 września odebrał tam sobie życie wystrzałem z rewolweru, znany ogólnie pod pseudonymem Rodocia poeta-satyryk, Mikołaj Biernacki. Ale smutniejszym jeszcze jest komentarz do tej hiobowej wieści, wyjaśniający, że przyczyną samobójstwa były pospolite, poziome, nędzne w swej istocie i treści, kłopoty finansowe, które go swym ciężarem przygniotły. „Zmęczony rozmaitymi kłopotami, nie widzę końca mych utrapień, postanowiłem skończyć z mizernem życiem mojem“—oto słowa, napisane w ostatniej chwili do zwierzchnika biurowego przez sześćdziesięciokilkoletniego poetę, którego satyry i fraszki powtarza i czyta kraj cały, którego życie było od początku do końca szlachetną walką pod sztandarem prawdy, światła, postępu i podniosłej idei demokratycznej.

Jeżeli Mickiewicz pod innym adresem zawołał kiedyś z oburzeniem: „Hańba ludom, co swoje mordują proroki!“ — to jednak dzisiaj trudno bez goryczy głębokiej myśleć o społeczeństwie, pozwalającem najlepszym i najszlachetniejszym synom swoim szamotać się przez długie lata ze stugłowym potworem niedostatku i wreszcie na schyłku dni swoich rozcinać kulą rewolwerową gordyjski węzeł braku środków na najpilniejsze i nieodzowne potrzeby. Śmierć Rodocia, ten ostry kamień wyrzutu dla całego społeczeństwa naszego, powinna jednak zaciążyć najmocniej na sumieniu i sercu dziwnej bardzo pod każdym względem prowincyi, w której zmarły satyryk (urodzony w r. 1836 na Podolu) miał nieszczęście przez znaczną część życia mieszkać i pracować. Ale Galicya takimi wypadkami nie zwykła się trapić zbytecznie, a kierownicze jej ciemne moce—stańczycy, z którymi zmarły satyryk walczył przez całe życie w miarę sił i możności, odetchną dziś może nawet swobodniej, że się go wreszcie pozbyły...

Rodocia nazywano chętnie Berangerem polskim. Świadczy to przedewszystkiem o tem, że nie całkiem jeszcze zdołaliśmy się pozbyć śmiesznego zwyczaju przyczepiania obcej etykiety do najbardziej nawet rodzimych objawów literatury i życia. Z popularnym piosenkarzem francuskim ma on naprawdę niewiele wspólnego, talentem nie dorównywa mu zapewne, lecz wzrokiem bystrym umiał przejrzeć do głębi społeczeństwo swoje, chwytał w lot jego wady i śmieszności, które wyszydzał ostro w krótkich zazwyczaj utworach ulotnych, nie odznaczających się formą kunsztowną, wycyzelowaną, lecz wypowiadających prawdę bez ogródek, pełnych prostoty i łatwych do zapamiętania.

Niepodobna wyliczać wszystkich wad społeczeństwa naszego, przeciwko którym zwracało się ostrze utworów satyrycznych Rodocia; zebrane razem satyry jego utworzyłyby z pewnością kilka sporych tomów. Do najpopularniejszych należą niewątpliwie te, w których smagał bez litości ciemnotę i pyszałkowatość szlachty galicyjskiej, jej wyrzekanie na biedę i ciężkie czasy — za suto zastawionym stołem, służalczość i bezmyślność warstw jednych, życie nad stan, pychę, udaną pobożność, brudne sobkostwo, brak uczuć obywatelskich — innych. Do typowych utworów jego należy znana satyra, rozpoczynająca się od dyalogu: „Czy sąsiad czasem czyta?“ Nic nie czytam i kwita. Powiedz mi, sąsiad, po co? Na dyabła mi czytanie! Tylko łeb, panie, to piśmidła klekocą. Ja zresztą, z książką w łapie, w kilka minut już chrapię.“ Ogromną popularność pozyskał inny utwór pt. „Zasady,“ którego niektóre wiersze („Skradł milion, dał na kweście aż tysiąc, wielkie nieba — dobrodziej, dobrodziej...“) weszły już niemal do skarbnicy przysłów narodowych.

R.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

W naszych czasach, kiedy wprzód się drukuje, zanim się napisze, autorowie nie mają w swych biurkach żadnych zapasów i dla potomności ani wiersza do pośmiertnych wydań nie zostawiają. Inaczej robili romantycy, których zasób prac niedrukowanych dotąd się nie wyczerpał. Rzecz naturalna, hr. A. Krasiński, objąwszy redakcyę *Biblioteki Warsz.* zaczął w niej pomieszczać nieogłoszone rękopisy dziada. W poprzednim zeszycie ów zarys dramatu pod tytułem „Wanda,“ w obecnym — cztery (tłomaczone) ułamki, które Krasiński napisał po francusku dla jednej z bogiń swego serca, Angielki, Henryki Willan: „Fragment dziennika,“ „Marzenie“, „Spowiedź Napoleona“ i „O duchowieństwie“. Ciekawem jest jego rozumowanie w tym ostatnim przedmiocie. Czy duchowieństwo ma być utrzymywane przez państwo, czy też przez jednostki?—pyta on. Opłacane przez państwo „przestanie stopniowo zależeć od nieba“, pójdzie w służbę rządu i ministrów, utraci szacunek i przewagę moralną jako przedstawiciel bóstwa, stanie się klasą polityczną jak armia lub mieszczaństwo. Przez zależność swoją od rządu nauczy się intrygować w celu osiągnienia ambitnych zamiarów; przez oglądanie różowych pokus świeckich w czasie odbioru pensyi w urzędach państwowych „sprowadzone zostanie z wyżyn kontemplacyjnych do małostkowych spraw ziemskich, zechce zaznać słodyczy i blasku życia światowego“. Z pokornych, ekstatycznych sług bóstwa, duchowni „staną się pysznymi książętami kościoła i włożą na dumną swą głowę trzy korony złote zamiast jednej, cierniowej“.

Prócz tego, mając byt zapewniony, duchowieństwo utraci gorliwość w służeniu parafianom. Natomiast utrzymywane przez społeczeństwo żyć będzie w niepewności jutra, na łasce pojedyńczych ludzi; będzie musiało wysługiwać się jednostkom lub stronnictwom, skarbić sobie ich względy, będzie także intrygować, dla dogodzenia mniej znaczącym łaskawcom i dobrodziejom — „zapomni o swych obowiązkach, zaniedba się w czujności nad kościołem i całe oddane światu, rzadko pomyśli o niebie“.

Duchowieństwo utrzymywane przez Państwo, wydaje się Krasińskiemu pożądańsze — gdyż przedstawia pewniejsze widoki porządku, lecz z drugiej strony uważa on je za właściwe tylko dla narodu stojącego na wyższym stopniu kultury i wyznającego jedną religię. Kościół niezależny od państwa skłonniejszym będzie do tolerancyi, zupełnej wolności wyznań. W każdym razie jest przekonany, że duchowieństwo, jak wszystko na świecie musi podlegać zmianom—odradzać się i znieprawiać, jednoczyć i rozdzielać. Ostatecznie zaś nie wie, co by wolał widzieć, czy kościół prywatny, czy rządowy, a nie wie dlatego, że w rozstrzyganiu zagadnień społecznych był słaby i że nawet wtedy, kiedy jego myśl trafiała na dobrą drogę, przesądy kastowe sprowadzały ją na manowce.

SPRAWY EKONOMICZNE

Ćwierć wieku.

Jutro tj. dnia 8-go września, Mińsk otwiera wielką wystawę przemysłowo-rolniczą największą z dotychczasowych wystaw prowincyonalnych w ostatnich latach. Urządziło ją miejscowe Towarzystwo rolnicze na pamiątkę dwudziestopięciolecia swego istnienia. Taka niezwykła uroczystość jubileuszowa, jak również ćwierćwiekowy okres działalności instytucyi, daje nam sposobność przyjrzenia się jej dziejom, które stanowią bardzo ważny rozdział historyi życia ekonomicznego na znacznych obszarach kraju. Mińskie Towarzystwo rolnicze zasługuje na uwagę jeszcze z tego względu, że jego działalność jest bardzo rozgałęziona i różnorodna, że skupia ono w sobie wszystkie działy pracy rolnej i sprawy wszystkich gałęzi przemysłu przetwórczego na roli, że wreszcie położyło ono znaczne zasługi na polu urządzeń ekonomicznych, tj. że samo brało czynny udział w zrzeszaniu sił rozproszonych i organizowaniu różnych gałęzi przemysłu mniej lub więcej związanych z rolą. Dzięki temu, działalność ta nosi charakter nietylko pracy ekonomicznej, lecz i społecznej.

Mińskie Towarzystwo rolnicze powstało z inicyatywy p. Makowa, byłego ministra spraw wewnętrznych. (Ustawę zatwierdzono w sierpniu r. 1876). Czas narodzin tej

instytucyi przypada na dobę najcięższą, tj. chwilę zupełnego zastoju ekonomicznego i wszechwładnego panowania rutyny na rozległych obszarach gubernij północno-zachodnich. Rolnicy oddani na łup spekulantów i pośredników, nie wyglądali po za miedzę własną, nie mieli najmniejszego wyobrażenia o jakichkolwiek „konjunkturach“ i związku interesów rolnictwa ze stanem i nastrojem rynków wszechświatowych. Otoczeni zwartym szeregiem kupców zbożowych i leśnych, przyciśnięci nieustanną potrzebą gotówki, oddali się zupełnie w ich ręce. Rabusie wtargnęli do pięknych, starych lasów litewskich i szerzyli straszliwe zniszczenie, uzbrojeni w kontrakty długoletnie. Niebotyczne dęby i sosny popłynęły z jednej strony Dnieprem przez „porochy“ Prypecią, Kanałem Dnieprzańsko-Buskim i Niemnem nad Bałtyk do Memla. Kanalizacya Polesia, która tak wielki pożytek przyniosła krajowi, ułatwiła jednocześnie spław drzewa, które w olbrzymich ilościach pod postacią kłód, klepek i wszelkich innych wyrobów gromadzono przez zimę nad brzegami kanałów, a na wiosnę z gorączkowym pośpiechem spławiano. W ten sposób popłynęło wiele fortun magnackich, a ich właściciele, gotówkę stąd zdobytą zostawili po za granicami kraju po to, ażeby następnie zwiększyć rzesze poszukiwaczów posad w miastach. Posiadacze mniejszych fortun, oględniejsi, skromni, całkowicie przyrośnięci do swego zagonu, cierpieli tymczasem pod naciskiem nieprzyjaznych warunków ekonomicznych. Całkiem zaprzedani spekulantom, czuli nadto na swych barkach nadmierny ciężar fiskalizmu akcyzowego, który doprowadził do masowego zamykania gorzelni. Służebności, szachownice i uciążliwe spory z włościanami, wynikłe na tle takich warunków, brak wszelkich sposobów pracy łącznej, brak udoskonalonej techniki i wiedzy fachowej, podczas gdy za granicą te środki doszły już do wielkiej potęgi — wszystko to stanowiło sumę czynników, wpływających zabójczo na rolnictwo *).

Z ogólnej liczby majątków ziemskich w Mińszczyźnie 92% prowadziło gospodarstwo według systemu trzypolowego, 64% nie posiadało młócarni i wialni, 85% uprawiało pola pierwotnemi sochami i bronami drewnianemi, 95% nie miało siewników i sieczkarni, 80% utrzymywało proste niculepszone bydło rogate, przyczem krowy oddawano na pacht po 11 rb. przeciętnie od sztuki, prócz tego pachciarz brał darmo większą część cieląt.

W takiej to smutnej dobie, a więc w warunkach najniepomyślniejszych dla rozwoju instytucyi, ogniskującej sprawy ziemiańskie, powstało Mińskie Towarzystwo rolnicze. Podejmując pracę organizacyjną, miało ono do usunięcia wiele przeszkód, musiało walczyć z rutyną, przesądami, apatyą i całą armią zorganizowanej spekulacyi i pośrednictwa. Prócz tego musiało rozwinąć liczne zabiegi w sferach właściwych o usunięcie lub zmianę różnych czynników, szkodliwie oddziaływających na rozwój i istnienie rolnictwa. Z początku szło wszystko opornie; powoli jednak Towarzystwo wybrnęło z wszystkich trudności i weszło w fazę najpomyślniejszego rozwoju r. 1888, tj. od chwili, gdy u steru instytucyi stanął człowiek światły i energiczny, wiceprezes p. Edward Woyniłłowicz i gdy w poczet członków weszły najlepsze siły obywatelskie. W r. 1881 i 1882 Towarzystwo urządza wystawy nasion, a w r. 1883 wystawę rolniczą. Następnie przy instytucyi powstaje skład narządzi rolniczych, maszyn i nasion, dzięki czemu ziemianie szybko się zaopatrują w ulepszone narzędzia i nasiona. Dalej Towarzystwo opracowywa ustawę Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń, czyni pomyślne zabiegi o otwarcie w pow. Bobrujskim, majątku Piotrowiczach szkoły chmielarstwa i owczarstwa, o urządzenie przy horyhoreckiej szkole rolniczej kursów gorzelniczych, a przy szkole rolniczej w Maryengórce kursów mleczarstwa.

Towarzystwo za pośrednictwem swych przedstawicieli bierze udział w rozstrzyganiu różnych spraw ekonomicznych wielkiej wagi. Tak np. na okręgowym zjeździe rolniczym w Smoleńsku r. 1881 występuje p. Woyniłłowicz jako przedstawiciel Towarzystwa i porusza tam sprawę zniesienia służebności. Następnie, gdy przy departamencie podatków niestałych ministeryum skarbu stworzono komisyę dla przejrzenia przepisów, dotyczących gorzelni rolniczych, Mińskie Towarzystwo rolnicze wysłało swego przedstawiciela, p. W. Ciundzewickiego, który wyjednał przyjęcie następujących projektów Towarzystwa: 1) Ażeby żądania dozoru akcyzowego przedstawiano właścicielom gorzelni nie ustnie, lecz za pośrednictwem korespondencyi urzędowej; 2) ażeby wszelkie nowe zmiany w aparacie kontrolującym opłacał skarb; 3) ażeby winni przekroczenia ustawy akcyzowej byli pociągani do odpowiedzialności sądowej, zamiast kar nakładanych przez urzędników akcyzy, bez sądu; 4) ażeby na urzędników akcyzy powoływano ludzi z wyższem specyalnem wykształceniem

Szerokie i różnorodne potrzeby życia wkrótce wykazały, iż pierwotna ustawa Towarzystwa posiada zbyt szczupłe ramki. Postarano się więc o ich rozszerzenie. Opracowano nową ustawę, (której głównym twórcą był nieżyjący już K. Gordziałkowski) i uzyskano jej zatwierdzenie w maju r. 1887. Odtąd wszystkie sprawy, skupiające się w Towarzystwie, znalazły szersze i głębsze łożysko. Ogrom i różnorodność tych spraw wymagały podziału specyalnego; powstały więc komisye i sekcye Najpierw gorzelnicza, następnie: leśna, rolna (agronomiczna), sekcya hodowli bydła i sekcya hodowli koni roboczych. Wreszcie z inicyatywy p. W. Jelskiego powstał zamiar stworzenia jeszcze jednej sekcyi, poświęconej sprawom gospodarstwa drobnego i naprawie bytu robotników. Dotąd wszakże sekcyi tej jeszcze nie zatwierdzono. Zorganizowany w ten sposób podział pracy wykazał bardzo dodatnie wyniki. Sekcya gorzelnicza (pod kierunkiem p. E. Lubańskiego) poruszyła wiele spraw doniosłych. Z jej inicyatywy powstało Towarzystwo właścicieli gorzelni w roku 1895, które pomimo zaledwie kilkoletniego istnienia rozwinęło się znacznie, posiada własną fabrykę beczek, swoje cysterny-wagony i rozszerzyło działalność nietylko w obrębie całego państwa, lecz i za granicą. Zdołało ono dotąd sprzedać 5,000,000 wiader spirytusu 40-stopniowego. Na czele Towarzystwa stoi p. W. Łappa.

(D. n.).

Zen. Piet.

*) Dane, zaczerpnięte z badań statystycznych Towarzystwa rolniczego.

KŁOSKI.

Dr. Talko występuje w *Kuryerze sosnowickim* z gorącą obroną okularów dla robotników — a właściwie okularów dr. Dołganoffa. Według autora wszystkie dotychczasowe typy szkieł ochronnych (a jest tego dobrego 20) są nic niewarte, gdyż nie ubezpieczają oczu robotników, utrudniając im tylko pracę. To też pomimo wyraźnego nakazu przepisów fabrycznych co do obowiązkowego używania tych szkieł, leżą one sobie między rupieciami w magazynach, a tymczasem robotnicy ulegają ciągłym kalectwom, zwłaszcza zajęci przy rozpalonem żelazie. Dr. Talko zapewnia, że po wprowadzeniu okularów Dołganoffa w fabryce Fitznera i Gampera liczba okaleczeń oczu spadła z 25 wypadków do 3 — a przy ściślejszej ostrożności nie byłoby ich wcale. „Dość raz zobaczyć —mówi autor — człowieka z wypalonemi gorącem żelazem oczyma, który za otrzymane od Towarzystwa ubezpieczeń pieniądze odbywa pielgrzymkę, szukając porady naokół, gdy mu np. niepopsute włókna nerwu wzrokowego pozwalają odróżniać światło od ciemności, ażeby pojąć cały tragizm sytuacyi, w jakiej co chwila znaleźć się może każdy robotnik, pracujący w hutach bez zabezpieczających okularów.“ Wierzymy mocno, że geniusz wynalazczy, który stworzył już tak doskonałe maszyny, że one wydają się istotami inteligentnemi, obmyśliłby również już dawno najzupełniej ubezpieczające okulary, gdyby mu tyle chodziło o zdrowie i życie sił roboczych, co o doskonałość i obniżenie kosztów produkcyi i gdyby fabrykanci tak dbali o całość maszyn żywych, jak dbają o martwe. Niestety, dla geszeftu więcej warte kółko ostatnich, niż oko pierwszych. *H.*

Anegdota opowiada, że gdzieś kiedyś podczas cholery urządzono barak, w którym składano umarłych, podejrzanych o letarg, a dla dozoru nad nimi postawiono wartę. Pewnej nocy istotnie jeden z nieboszczyków ożył i chciał wyjść z szopy, ale strażnik go zatrzymał.

— Puść, przyjacielu — błagał zmartwychwstaniec.

— Nie mogę — odparł surowo strażnik. — Gdybym jednego wypuścił, wszyscy by wyleźli.

Otóż w szpitalu św. Rocha coś podobnego odbyło się znacznie lepiej: bo gdy bez dostatecznego stwierdzenia śmierci wyniesiono pozornie zmarłego do trupiarni i gdy ten ożył, pozwolono mu wrócić do szpitala, gdzie skutkiem choroby, ale także i przestrachu istotnie skonał. Jakkolwiek umiemy należycie ocenić grzeczność administracyi czy obsługi szpitalnej dla zmartwychwstających w jej trupiarni rzekomych nieboszczyków, wolelibyśmy, ażeby tego rodzaju „pomyłki“ nie zdarzały się wcale. *Kuryer warszawski* usprawiedliwia je tem, że szpitale nasze (wbrew ustawie) nie posiadają osobnego pokoju dla zmarłych, gdzie oni powinni leżeć przez 12 godzin, zanim zostaną przeniesieni do trupiarni. Zapewne, jest to brak, sprzyjający „pomyłkom, w których nikt nie zawinił,“ ale nam się zdaje, że obok takiego pokoju przydałaby się w naszych szpitalach jeszcze jedna drobna rzecz, mianowicie większa i lepiej uorganizowana dbałość o chorych. Przed paru tygodniami *Wędrowiec* nakreślił bardzo pouczający obrazek losu przejechanego dziecka, które Pogotowie odwiozło do szpitala i które do następnego dnia musiało czekać na opatrunek. Czekać z połamanemi kośćmi! A ileż to razy się zdarza! Tak często, że należałoby urządzić w szpitalach drugie pogotowie ratunkowe, któreby *natychmiast* zajmowało się przyniesionymi z miasta nieszczęśliwcami. Doprawdy, spadłemu z rusztowania mularzowi, który z pogruchotanemi żebrami i rozbitą czaszką musi przez kilkanaście godzin czekać na opatrunek, małą to sprawia ulgę, że w tym stanie przejechał się wygodnie karetką Pogotowia. *sz.*

Dzienniki szeroko opisały ślub hr. Krasińskiej z ks. Czartoryskim, przyczem wymieniły wiano panny młodej, dochodzące do 16 milionów rubli, a składające się, oprócz kapitałów, z 71 folwarków i 19 domów oraz pałaców. Cały ten opis jest bardzo drobiazgowy, a jednak niedokładny, bo pominięto w nim bardzo znamienny i godzien przypomnienia szczegół, mianowicie, że nieboszczyk ojciec hrabianki, właściciel owych 71 folwarków i 19 domów, posiadacz milionów, umierając, nie zapisał w testamencie ani jednego grosza biednym lub instytucyom społecznym. Ciekawa rzecz, czy nowożeńcy naprawią to przeoczenie ojca i teścia, czcząc uroczystość swego szczęścia jakąś ofiarą? Z 16 milionów udzielić coś tak łatwo...



NA MARGINESIE.

Paradoksy naukowe. Słynny pomocnik Pasteura, a obecnie kierownik Instytutu jego imienia, Miecznikow, miał w Manchester Literary and Philosophical Institute odczyt o bakteryach, w którym zastanowił się także nad „bezużytecznymi organami ustroju człowieka.“ Do tych „bezużytecznych“ narządów należą — według niego — między innymi: żołądek i kiszki grube (cienkie możnaby jeszcze „skrócić“). Wogóle idąc za radą uczonego profesora, powinnibyśmy z naszej wewnętrznej „ubikacyi“ — jak mówią Galicyanie — usunąć wiele niepotrzebnych sprzętów, w których tylko gnieżdżą się żarłoczne móle naszego organizmu — szkodliwe bakterye. Jakkolwiek mają żyć obecnie na świecie czterej ludzie bez żołądka, wątpimy, czy Miecznikow chciałby być piątym.

— Nie tyle sławny, ile osławiony b. prof. uniwersytetu wiedeńskiego Schenk, na kongresie zoologicznym w Berlinie usiłował obronić swoją teoryę dowolnego wytwarzania płci noworodków. Pierwszą jej myśl miała mu nasunąć hodowla jedwabników, które, ile razy były niedostatecznie karmione liśćmi morwy, wydawały osobniki męskie. Następnie umocniła go w tem spostrzeżeniu książka podróżnika Rohlfsa, który zaznaczył, że w okolicach Afryki u nawiedzonych głodem rodzą się przeważnie chłopcy. Dalej statystyka wykazuje, że po wojnach, kiedy kobiety, skutkiem ubytku mężczyzn, muszą cięższej pracować, mnoży się płeć męska. Wreszcie Schenk zapewnia, iż doświadczenia z ludźmi (za pomocą odpowiedniej dyety) dały mu te same wyniki. Jak zwykle przy jaskrawych sporach, nie brakło oklasków, ale większość tak zawzięcie turbowała protestami biednego Schenka, że gdyby on po tej rozprawie mógł być jeszcze ojcem, z pewnością zgodnie ze swoją teoryą, jako wycieńczony, doczekałby się syna.

Bogactwo galicyjskie według „Wiadomości statystycznych ministeryum skarbu,“ przedstawia się w następujących cyfrach, opartych na wykazach podatku dochodowego. Opłacają go wszyscy, zarabiający więcej, niż 1,200 koron (około 480 rb.), ci zaś szczęśliwcy (65,000 głów) śród $7\frac{1}{4}$ milionowej ludności mają dochodu ogółem 250 mil. koron (w Czechach $2\frac{1}{2}$ raza tyle na 6 mil. ludności, w Austryi Dolnej $4\frac{1}{2}$ raza na 3 mil.). Podatek dochodowy przyniósł rządowi w zeszłym roku $3\frac{1}{2}$ mil. koron (z Czech 10 mil., z Austryi Dolnej $22\frac{1}{4}$ mil.). Galicya co do przestrzeni jest trzecią częścią Austryi, co do ludności — czwartą, co do dochodu — 14!

Z owych 65,000 stojących po nad poziomem nędzy aż 52,588 należy do najniższej klasy dochodowej (od 1200—3600 k.), odpowiadającej wartości robotników we Francyi i Anglii. Zaledwie 9,041 osób ma dochodu rocznego 3600—7400 koron, 2,219 osób 7,400—12,000 koron, a 1,405 os. wyżej 12,000 k. Tą liczbą są również objęci wszyscy bogacze. Ilu też ich jest? Ledwie starczy na rozpłód: 33 posiada dochodu 100—200 tys. koron, a *ośmiu* więcej, niż 200,000 k. (około 80,000 rb.). Słowem, całe bogactwo galicyjskie, to chuda polewka ekonomiczna, po której pływają nieliczne tłuste oka w sumie około 178 sztuk (z dochodem wyżej 40,000 koron).

O prawdę.

W nr. 30 *Prawdy* ktoś w artykuliku p. n. „Księgarze“ strofuje mię za wzmiankę o czwartym międzynarodowym kongresie wydawców, zamieszczoną w nr. 7 *Książki*.

To, na co się autor nie godzi, jest myśl możliwego zorganizowania się księgarzy i wydawców naszych w stowarzyszenie, na wzór pomyślnie rozwijającej się organizacyi w Niemczech, Szwecyi, Norwegii i Danii. Na samą wzmiankę o tem przed krytykiem zamajaczyły jakieś „syndykaty,“ „trusty,“ „areopagi“ księgarskie, przeciwko którym z góry protestuje, bo handel księgarski zawsze jest handlem, a „naturą handlu zawsze jest zarobek.“ Stowarzyszenia księgarzy i wydawców w Niemczech nie można nazwać ani syndykatami, ani kartelami dla tej prostej przyczyny, że różnią się one istotnie od syndykatów handlowo-przemysłowych; — książka to nie węgiel, nie szyny, nie worki jutowe; książka jest towarem, który się nie da inną książką zastąpić; jest to towar indywidualny, a więc, rzecz prosta, handel takim towarem musi mieć swoje odrębności i organizacya jego musi być do właściwości towaru przystosowaną.

Ekonomiści niejednokrotnie już zastanawiali się nad tym dziwolągiem, jakim jest organizacya handlu księgarskiego w Niemczech, porównywali ją z organizacyą angielską i francuską i dowodzą jasno liczbami i statystyką, że rządy, społeczeństwo, autorowie i księgarze z organizacyi tej są zadowoleni, wykazują jej strony dodatnie, a co najważniejsza, zgodnie zaznaczają, że cieszy się ona w Niemczech powszechnem poparciem. O tem wszystkiem pisał u nas p. St. Piotrowski jeszcze w r. 1895 (*Ateneum*, t. IV, str. 532—546), gdzie czytamy: „Syndykat zatem księgarski jest niewątpliwie syndykatem wyjątkowym, a pierwotne źródło tej wyjątkowości leży ostatecznie w tem, że produkt i przedmiot handlu księgarskiego, „książka,“ jest już towarem wyjątkowym.“

O kartelach księgarskich referował dr. R. Pohle na walnem zebraniu „des Vereins für Socialpolitik,“ odbytem w d. 28 i 29 września 1894 r. w Wiedniu. Pracę tę ogłoszono drukiem w r. 1895.

Zasadnicza różnica natury handlu księgarskiego polega na tem, że kartele jego *decentralizują* handel, gdy tymczasem kartele nieksięgarskie *centralizują*. To też cytowane prace wykazują, że zorganizowane księgarstwo niemieckie jest zdecentralizowane, gdy tymczasem niezorganizowane angielskie i francuskie znajdują się w rękach augurów. Wprawdzie Hachettów, Alcanów, Heynemanów, Massonów, Farynellów jeszcze nie mamy, ale z czasem mieć będziemy, jeżeli odpowiednia organizacya wcześnie nie zapobiegnie temu. Nadto organizacya księgarska w Niemczech dodatnio oddziaływa na ogólne wykształcenie księgarzy, kontroluje skutecznie etykę handlu księgarskiego, zapobiega nadużyciom pokątnego kramarstwa i stoi na straży *ogólnych* interesów wydawniczych.

Gdyby np. istniała organizacya księgarstwa u nas, niewątpliwie sprzeciwiłaby się dążnościom syndykatów papierników i drukarzy naszych, które doprowadziły do cła, nałożonego na książki polskie, drukowane za granicą.

A. Turkul.

KRONIKA.

Polacy w Saksonii — Jak donosi *Dzien. pozn.* — stanowią już dziś poważny zastęp (około 5,000 ludzi). Są to przeważnie bezrolni włościanie z Ks. Poznańskiego, ciągnący do fabryk szkockich zamiast do Westfalii, a także mieszkańcy gub. Kowieńskiej, górale galicyjscy i Mazurzy z Królestwa. Ci ostatni zajmują się również rzemiosłami. Posiadają oni już nawet swoje stowarzyszenia, bibliotekę itd. Celem tych oderwanych liści, które wiatr rozrzuca po całym świecie, jest zebrać kilkaset rubli i wrócić do kraju. A zarobki mają podobno korzystne.

Szkoła Polska w Chicago. W Chicago Polacy należący do parafii N. P. N. Maryi P., zostającej pod kierownictwem ks. Franciszka Wojtalewicza, wznieśli trzy lata temu ze składek piękną świątynię na miejscu spalonego w 1898 r. kościoła drewnianego, a teraz kończą budować wspaniałą szkołę dla swej dziatwy. Gmach jest 4-piętrowy, zawierać ma: 20 klas, mających pomieścić 1,000 dzieci, salę teatralną na 1,500 osób, bibliotekę parafialną i inne udogodnienia. Oświetlony będzie elektrycznością, a ogrzewany parą. Robotami kieruje budowniczy Brookman. W pierwszych dniach września szkoła miała być już oddaną do użytku.

W Kurytybie wychodząca *Prawda* i *Gazeta polska w Brazylii* zlały się podobno w jedno pismo. *Gaz. polską* wydawał Czapski, zecer, w duchu nieprzyjaznym dla kolonizacyi polskiej w Brazylii, służąc interesom niemieckim. Od Czapskiego nabył ją obecnie Leon Bielski, kupiec z Warszawy, który z całą rodziną przeniósł się do Parany.

Zmiana nazwy. Ministeryum zatwierdziło zmianę nazwy kasy pożyczkowo-oszczędnościowej ogrodników i pszczelarzy przy Towarzystwie pszczelniczo-ogrodniczem w Warszawie na nazwę Kasy pożyczkowo - oszczędnościowej rolników i ogrodników.

Szkoły. Nowy instytut politechniczny ma być otwarty w Petersburgu w jesieni 1902 r. Prócz wydziałów chemicznego i mechanicznego będzie też wydział budowy statków handlowych. Niektóre katedry projektują powierzyć cudzoziemcom.

— Minister skarbu zatwierdził ustawy 4-klasowej szkoły handlowej w Lublinie i takiejże szkoły 7-o klasowej w Wilnie.

— Z początkiem bież. roku szkolnego powstaje w Radomiu miejska szkoła handlowa.

— Ministeryum oświaty poleciło kuratorom okręgów naukowych, ażeby do próśb przysyłanych do ministeryum o pozwolenie na otwarcie nowych lub przekształcenie istniejących już zakładów naukowych dołączane były o ile możności dokładne dane: o liczbie i składzie ludności w tem mieście, gdzie projektowane jest otworzenie lub przekształcenie szkoły: jakie istnieją w danem mieście instytucye rządowe i społeczne; w jakiej odległości leżą najbliższe miasta z takiemi samemi lub podobnemi szkołami, wreszcie wszystkie te okoliczności, z których możnaby sądzić, jak dalece nieodzownem jest zadośćuczynienie danej prośbie.

— Wobec rozszerzenia programu wykładów robót rękodzielniczych kobiecych w zakładach naukowych średnich, ministeryum oświaty poleciło zarządowi okręgu naukowego warszawskiego, aby posady nauczycielek w tych zakładach były obsadzane wyłącznie kobietami, które ukończyły szkoły fachowe, kobiece, rękodzielnicze i mają świadectwa z ogólnego wykształcenia na nauczycielki przynajmniej szkół początkowych,

Wiadomości społeczne Na mocy uchwały komitetu ministrów termin trwania wzmocnionej obrony w gub. Kijowskiej, Podolskiej i Wołyńskiej przedłużony został na rok, licząc od 4 września r. b.

— Zatwierdzono Towarzystwo wzajemnego kredytu w Łowiczu.

— Władza ministeryalna zatwierdziła, po wprowadzeniu pewnych zmian ustawę Kasy pożyczkowo oszczędnościowej dla kobiet pracujących fizycznie.

Ciekawa podwyżka. Niższa służba szpitala Dz. Jezus skarżyła się na niedostatek pożywienia, szczególnie chleba, którego dawano dziennie po funcie na osobę, a dzień ma 17 godzin pracy. Wobec tego rada miejska dobroczynności publicznej upoważniła intendenta szpitala do zmiany istniejącego porządku rzeczy, ale pod warunkiem... że nie przekroczy budżetu wyznaczonego na żywność! (*Kur. codz.*).

Stypendyum. Warsz. Tow. lekarskie zawiadamia o dwóch wakujących stypendyach: jedno z zapisu dr W. Koczorowskiego, w sumie 300 rb., dla studenta wydziału lekarskiego uniwersytetu warszawskiego, pochodzenia polskiego i wyznania rzymsko-katolickiego: drugie — z zapisu dr. J. Gołębiowskiego, 250 rb., dla studentów uniw. warsz., krewnych zapisodawcy.

Kursy. W Towarzystwie pszczelniczo - ogrodniczem rozpoczną się d. 23 września kursy 10-dniowe o zużytkowaniu owoców, a mianowicie: o zbiorze, przesyłaniu i przechowywaniu owoców, o suszeniu owoców i warzyw, o wyrabianiu wina, soków, octów, powideł, marmolad i galaret owocowych. Opłata 8 rb. za kurs.

Zdrowie publiczne. Zawiązuje się w Warszawie towarzystwo akcyjne w celu wzniesienia w środku miasta wielkiego zakładu kąpielowego podług najnowszych wzorów.

Rolnictwo. Z powodu nieurodzajów oddział Banku włościańskiego w Królestwie Polskiem wystąpił do władzy właściwej z projektem przyznania ulg w opłacie rat włościanom, którzy przy pomocy Banku włościańskiego nabyli grunty, na wzór ulg, udzielanych włościanom w wewnętrznych guberniach Cesarstwa podczas ostatniego nieurodzaju.

Plaga. Z Charkowa donoszą, iż w okolicach kolei Charkowsko-Mikołajewskiej pojawiła się tak wielka ilość gąsienic nieznanego owadu, iż pociągi muszą się zatrzymywać, gdyż tor kolejowy jest grubo

przez nie pokryty. Gąsienice te dążą w kierunku północnym.

Wystawy. Projektowana w Moskwie na wrzesień r. b. wszechrosyjska wystawa ogrodnicza odłożona została do jesieni 1902 r.

Hakata. W Środzie, w W. Ks. Poznańskiem, z powodu zatargu z regencyą usunięto z urzędu wszystkich członków dozoru szkolnego. Przy ponownych wyborach wybrano między innymi ks. prałata Jażdżewskiego i p. Szmidta, których jednakże regencya nie zatwierdziła z powodu ich „zdeklarowanego usposobienia polskiego."

— W Poznańskiem Towarzystwo gimnastyczne Sokół skazane zostało na karę pieniężną za niedoręczenie policyi listy nowo przybyłych członków, a tem samem uznane przez sąd za stowarzyszenie polityczne.

— Rada miejska w Grudziądzu obradowała nad sposobami zmuszenia władzy duchownej do zaniechania polskiego śpiewu podczas nabożeństw w kościołach, ponieważ z powodu tego śpiewu grozi jakoby dzieciom niemieckim polonizacya. Postanowiono wezwać pomocy prezesa policyi.

Kongres lekarzy egipskich odbędzie się po raz pierwszy w Kairze 10—12 grudnia; wezmą w nim udział wybitniejsi lekarze europejscy. Głównym przedmiotem narad będą choroby panujące nad Nilem i sposoby ich leczenia.

Koleje i komunikacye. Ponieważ ekspedytorzy na tutejszych kolejach nie mieli dokładnych wiadomości o ruchu pociągów na kolei Syberyjskiej, więc nie mogli przyjmować towarów do wysłania w oznaczonym czasie. Obecnie główny zarząd kolei żelaznych polecił uzupełnić książki taryfowe odnośnymi przepisami, aby przesyłka towarów nie ulegała zwłoce. O wstrzymaniu ruchu na kolei Syberyjskiej wszystkie drogi żelazne mają być zawiadamiane okólnikiem telegraficznie.

— Budowana odnoga kolei z Częstochowy do Herbów będzie elektryczna. Wpłynie ona prawdopodobnie na ożywienie się ruchu handlowego między Królestwem a Prusami, gdyż skróci drogę z Warszawy do Wrocławia o 100 wiorst. Linia ta będzie miała 18 wiorst długości. Przy budowie jej zastosowano przepisy, zabraniające prowadzenia robót obcym poddanym — przedsiębiorcy więc zagraniczni musieli ustąpić miejsca siłom krajowym.

Nauka. Lekarz paryski, dr. Garnault, przybył do Berlina w celu studyów nad leczeniem suchot metodą Kocha. Postanowił on podobno wstrzyknąć sobie zarazek gruźlicy zwierzęcej, aby w ten sposób sprawdzić niezaraźliwość jej dla ludzi.

Przemysł i handel. W Warszawie zawiązuje się towarzystwo akcyjne fabrykacyi drożdży. Zamierza ono współzawodniczyć z syndykatem fabrykantów w Cesarstwie, którzy podnieśli cenę tego produktu o 50 proc.

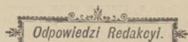
— Ze sprzedaży patentów na prowadzenie przemysłu i handlu w Warszawie wpłynęło w roku bieżącym do 14 sierpnia o 20,732 rb. mniej, aniżeli w tymże czasie w roku zeszłym.

Ekspedytorzy. Na komorze warszawskiej i innych wprowadzono obecnie tak daleco skrócone i uproszczone przepisy odbierania towarów i opłacania ceł, że wszelkie pośrednictwo ekspedytorów i biur ekspedycyjnych okazuje się zbytecznem. Kupcy powierzać mogą te sprawy swym subjektom. Lecz tym sposobem parę tysięcy ludzi, otrzymujących się dotąd z pośrednictwa, zostaje bez zajęcia.

Zmarli. Franciszek Psarski, dziennikarz, współpracownik pism warszawskich.

— Dominik Morelli, w Neapolu, jeden z najznakomitszych malarzy włoskich, w 75 roku życia.

— Gunnar Wennerberg, poeta szwedzki, kompozytor i mąż stanu. Zyskał sobie popularność pieśniami studenckiemi, które znane są i śpiewane w całym kraju. Dzielny mówca i polityk, dwukrotnie powoływany był na stanowisko ministra. Zmarł w 84 roku życia.



Panu D. w Mińsku. Dlaczego następne tomy „Dziejów nowożytnych" nie ukazują się w druku, autor mógłby tylko Sz. Panu dokładnie odpowiedzieć. Niema go obecnie w Warszawie.



OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава, 23 Августа 1901 года. Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.